# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 15. WARSZAWA, 8 KWIETNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.


## OD KONTYNENTU DO PARAFJI

ŻAŁOSNE doświadczenia, zbierane przez nas w dziedzinie gospodarki wielkokapitalistycznej, jaką prowadzić usiłujemy nie posiadając kapitału, mnożą się. Zakłady żyrardowskie, odbudowane po wojnie przez państwo, stały się pod rządami obcego kapitału skutecznym instrumentem do wypompowywania z kraju tego, co się jeszcze wypompować daje. Różnica między gospodarką kapitału obcego w tej fabryce przed wojną a po wojnie daje wyraźny obraz ewolucji kapitalizmu w ostatnich lat dziesiątkach, jego przejścia od typu osiadłego, produkcyjnego—do typu, w którym przeważają pierwiastki koczownicze, spekulacyjno-giełdowe; stąd nauka, że w różnych czasach ten sam pozornie zabieg, jak w tym wypadku przyciąganie kapitałów obcych, może przynosić zupełnie inne następstwa. Po Żyrardowie przyszła znowu kolej na wielkie zakłady metalurgiczne na Śląsku: gospodarka ich, jak się mogliśmy już nie po raz pierwszy przekonać, nie liczy się z pożytkiem kraju, co jest tem bardziej zrozumiałe, że kapitał tam panujący, poza zwykłemi, fatalnemi właściwościami wędrownego pieniądza, ma jeszcze nadto tę kardynalną wadę, że albo wprost należy, albo w najlepszym wypadku jest pod wpływem naszych nieprzyjaciół politycznych.

Mimo tych wielorakich doświadczeń „nastawienie“ naszej polityki gospodarczej pozostaje nadal niezmienione, w kierunku uznawania właściwie tylko wielkiego przemysłu. W dalszym ciągu usiłujemy trzymać się paradoksu „kapitalizmu bez kapitału“, gonimy za chimerą wielkiego, eksportowego przemysłu i zaniedbujemy to, co jedynie w obecnych warunkach może wydźwignąć kraj z biedy—drobną produkcję. Przyczyn po temu jest oczywiście wiele; jedną z ważniejszych jest niewątpliwie socjalistyczna formacja umysłowa, przez którą przeszli ludzie dziś u nas decydujący. A wiadomo, iż socjalista czuć się może dobrze tylko w wielkich fabrykach, wśród tłumu proletarjatu, związków zawodowych, wszelakiego rodzaju ubezpieczeń i innych urządzeń, które mają człowieka wynagrodzić za pozbawienie własności i samodzielności, a stwarzają raj dla biurokracji rozmaitego kalibru. Nie ostatnią przyczyną jest jednakowoż rozpowszechnione jeszcze szeroko, przeżytkowe mniemanie, że właśnie wielki przemysł jest ostateczną i już niezmienną formą produkcji, odpowiadającą najlepiej potrzebom społeczeństw i zapewniającą im najwięcej zysków materjalnych. Organizację, która powstała w czasach, kiedy przed Europą otwarły się nagle widoki eksploatacji całego świata i która w tem stadjum historji oddała istotnie wielkie usługi materjalne społeczeństwom zachodnim, bierze się ciągle jeszcze za coś, co ma trwać wiecznie, mimo że czasy nowsze coraz wyraźniej wykazują, iż ekspansja się kończy i trzeba myśleć już nie o robieniu majątku, lecz o zapewnieniu sobie uczciwej i godnej egzystencji. Opór przeciwko temu zwróceniu się do skromniejszych materjalnie metod pracy pochodzi też w dużej mierze stąd niewątpliwie, że niedostateczne przemyślenie tych problematów identyfikuje gospodarkę wielkokapitalistyczną z wielkiemi odkryciami naukowemi, z postępem wiedzy i z postępem wogóle, pojmowanym wyłącznie prawie jako postęp materjalny. Jest w tem wiele pomieszania pojęć i zjawisk: wynalazku, zdobycia i zrealizowania. Organizator towarzystwa akcyjnego Marconi mógł zaćmić w opinji powszechnej Maxwella,

Herza i in., tem nie mniej nie on jest wynalazcą komunikacji radjowej, a jego niewątpliwe zasługi w tej dziedzinie uwarunkowane zostały tym faktem, że przypadkowo sprawa ta rokowała dobre zyski materjalne. A jeżeli weźmiemy pod uwagę dwie inne dziedziny nowoczesnych cudów, żeglugę powietrzną i podwodną, to przekonamy się, że tu kapitał przedsiębiorców nie zrobił nic, są to bowiem rzeczy nie kalkulujące się handlowo i wobec tego trzeba dopiero wysiłku zbiorowego, w tym wypadku państw, żeby sprawę ruszyć z miejsca i zapewnić jej należyty rozwój. A czy wszystko, co rokuje dochód, jest pożyteczne? Kapitalista rzuca się na wszystko, gdzie tylko zysk zwęszy; przy innym systemie będziemy może mieli większą selekcję i to może być prawdziwym postępem.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że najsilniejsze przywiązanie do dotychczasowych form produkcji powinno panować w tych krajach, które w niedawnej jeszcze przeszłości ciągnęły z nich potężne zyski i zawdzięczają im swe dzisiejsze stanowisko w świecie, np. w Anglji. Ten „warsztat świata" broni swojej pozycji zacięcie, stosuje wszystkie swe naprawdę potężne środki. Osiągnęła pewną poprawę położenia, które było już rozpaczliwe, jest jednak wciąż jeszcze między nadzieją i obawą, a wielu ludzi dalej widzących zaczyna z kryzysu wyciągać wnioski, które jeszcze niedawno wydawałyby się tam herezją i wywoływałyby wzruszenie ramion, jako dziwactwa. Więc najpierw stosunek do rolnictwa ulega zmianie. Kraj, który w ciągu ostatniego wieku wyludnił prawie całkowicie wieś i skupił 80% ludności w miastach, przy zajęciach dających większy zysk, teraz zaczyna zawracać z drogi, zaczyna rozumować, że pracy na roli nie należy traktować jedynie z punktu widzenia robienia pieniędzy, że ma ona swoją ważną funkcję w życiu społeczeństwa i nie wolno jej porzucać, mimo iż z punktu widzenia kalkulacji finansowej może nie być *a paying proposition*. Co więcej, zaczyna się tam mówić o drobnem wytwórstwie, jako lekarstwie na dolegliwości dnia dzisiejszego.

Oto w „*Times*", a więc w organie, mającym słusznie ugruntowaną opinję najwierniejszego odzwierciadlania prądów i przekonań, panujących w rządzącej, oświeconej warstwie społeczeństwa angielskiego, można było w ostatnich tygodniach czytać zajmujące artykuły, opisujące opłakany dzisiejszy stan doniedawna kwitnących okręgów przemysłowych. Rezultaty tej poważnej ankiety zostały ujęte w artykule redakcyjnym i do jakich wniosków dochodzi organ wielkiej burżuazji angielskiej? Oto powiada: „budzenie fałszywych nadziei na odrodzenie przemysłowe tych podupadłych okręgów jest szkodliwe dla dobrobytu mieszkańców... możliwości do pobudzenia nowych przemysłów, może zupełnie drobnych, obliczonych na zaspokojenie lokalnych potrzeb, sposobność do szkolenia się w umiejętnościach rękodzielniczych, zwanych zwykle przemysłami wiejskiemi, powinny być jaknajszerzej zapewnione...".

Co za parfjańszczyzna, nieprawdaż?! Organ społeczeństwa, które myślało, jak to mówią, „w skali kontynentów", zwraca się do potrzeb lokalnych. Warto się jednak nad tem zastanowić. My na tej uczcie przemysłowej zeszłego stulecia nie byliśmy obecni, a i na dzisiejsze resztki spóźniliśmy się beznadziejnie. Nie dajmy się więc opanowywać fałszywemu apetytowi, zwróćmy się raczej do rozwijania tego, co istotnie mamy w swojem ręku, co rokuje najlepsze nadzieje i przy czem nasza inteligencja znaleźć może zajęcia bardziej jej godne, niż wysiadywanie krzeseł po biurach. Nie dajmy się Anglikom znów „wyprzedzić w rozwoju"... tych „umiejętności rękodzielniczych, zwanych zwykle przemysłami wiejskiemi".

ZYGMUNT RACZKOWSKI

MASONERJA FRANCUSKA A ŻYDZI

# ROLA ADOLFA CRÉMIEUX

ODDAWNA była Francja słodką krainą *(„un doux pays")* dla żydów i wolnomularstwa. Przecież Wielka Rewolucja Francuska była zorganizowana i przeprowadzona przy energicznem współdziałaniu, głównie za kulisami, masonerji. Wszystkie potem rewolucje i przewroty były organizowane we Francji przy cichej reżyserji masońskiej. Napoleon *le Petit* czyli Napoleon III otrzymał tron nie bez pomocy finansowej Rotszyldów, no i oczywiście wolnomularstwa. Hasło tego Napoleona: *Enrichissez vous*, które rozeszło się po całej Francji, było dewizą, wyrosłą z ducha żydowskiego i podsuniętą przez żydów.

Współudział masonerji podczas wypadków komuny jest faktem aż nazbyt znanym i niewątpliwym. Przypomnijmy, że tłumy prowadzone przez żyda Meyera, zwaliły kolumnę Vendôme; spalono wtedy ministerjum spraw zagranicznych i ministerjum skarbu, i w tym ogniu zaginęły bezpowrotnie różne dokumenty, dotyczące zakulisowych stosunków masonerji francuskiej z Bismarckiem. Ale ani jeden ze stu pięćdziesięciu domów Rotszylda nie został zniszczony, jak również ani jeden żydowski magazyn jubilerski na rue de la Paix, chociaż tłuszcza pijana grabiła i niszczyła wokół.

Po upadku Napoleona, kiedy ogłoszono rzeczpospolitą, penetracja masonerji we wszystkie dziedziny życia państwowego rozpowszechniała się coraz bardziej. Prezesami ministrów byli niejednokrotnie masoni, jak np. Jules Simon. Ale gdy w styczniu r. 1878 prezesem ministrów został Dufaure, wolnomularstwo zapanowało niepodzielnie, był to bowiem gabinet czysto masoński. Prezesem Izby został Gambetta, mason, współpracownik najbliższy żyda, Adolfa

Crémieux, założyciela *„L'Alliance israélite universelle"*. Rząd, senat, izba zostały odtąd poddane władzy masonerji. Skład każdorazowy był dobierany w interesie wolnomularstwa, co zresztą jest do dziś praktykowane. Municypalności i administracja oraz prefektura policji zostały oczyszczone z elementów niepewnych, t. j. konserwatywnych i katolickich. Dygnitarstwa i posady otrzymywali głównie ci, co się zgodzili wstąpić do wolnomularzy. W r. 1879, najpierw za pomocą dekretów, oczyszczono sobie drogę; przedewszystkiem zmieniono całkowicie skład rady stanu, a potem rozpoczęto celową, na daleką metę obliczoną działalność prawodawczą, mającą na widoku cele wolnomularstwa. Rozciągnięto kontrolę nad prasą, zaczęto wciągać wojskowych w szeregi masonerji, wystąpiono z akcją przeciwko szkole. Najpierw zaczęto gromadnie wciągać dzieci szkolne do wolnomularstwa w Paryżu i różnych miastach na prowincji. Odbywało się to podczas niby nic nie znaczących ceremonij, na których dzieci, rozbawione i wesołe, nie orjentowały się zgoła, co znaczą różne młotki, trójkąty, węgielnice i cyrkle, a sens zawierał się w tem, że po trzykrotnem uderzeniu młotkiem, Brat Czcigodny odbierał od opiekunów dzieci przysięgę, iż ich wychowańcy pozostaną wierni zgromadzeniu i od tej chwili dzieci zostawały zaliczone do „małych masonów". Te praktyki nasuwają analogję z rzeczywistości współczesnej, a bardzo nam bliskiej, a mianowicie ślubowanie „Straży Przedniej". Później zaczęto zakładać najprzeróżniejsze stowarzyszenia, działające na terenie szkoły i wśród młodzieży, a celem ich było opanowanie zupełne wychowania i szkoły. Po tem pierwszem ugruntowaniu się masonerji w życiu publiczno-państwowem Francji, nastąpiła akcja dalsza. Za trzeciej rzeczpospolitej rozpoczęto gruntowną laicyzację szkoły, przyczem szkoły powszechne całkowicie wpadły w ręce wolnomularstwa. Utworzono specjalne kartoteki nauczycieli szkół powszechnych. Personel dobierano pewny i powolny. A potem seminarja, opanowane przez wolnomularstwo, preparowały nauczycieli. Temu przypisać należy tak powszechny indyferentyzm na punkcie religji, głównie u warstw niższych, zwłaszcza na wsi. Nie zapomniano jednak i o szkołach wyższych. Mason Juljusz Macé, przy współdziałaniu Karola Roberta, dyrektora generalnego w ministerjum oświaty, założył Ligę wychowawczą, która miała na celu związać uniwersytety z masonerją. Rezultaty tak szeroko pojętej penetracji wolnomularstwa w życiu publicznem Francji nie dały na siebie długo czekać. Ministerja Combes'a i Waldeck — Rousseau'a, wybitnie wolnomularskie, rozpoczęły walkę z Kościołem, walkę zakrojoną na szeroką skalę, zlaicyzowano szkoły. W literaturze prąd antymilitarystyczny, a w życiu, w armji wielka *l'Affaire Dreyfus*, w której cieniu stali masoni, a za nimi żydzi; dalej Panama, słynna Panama, która, gdy wybuchła, spowodowała samobójstwo córki barona Rotszylda, a żony Józefa Reinacha, niezwykle ustosunkowanego żyda i masona. Prześladowano katolików, tłumiono życie religijne, zamykano klasztory, dezorganizowano armję i marynarkę. Do armji wprowadzono *système de fiches*, a ten system zaprowadzono wcześniej jeszcze w szkolnictwie. Demoralizowano korpus oficerski przez wprowadzenie donosicielstwa i system szpiegowania się wzajemnego oficerów. W sprawach ważniejszych, zwłaszcza przy awansach, zasięgano opinji rue Cadet (№ 16, siedziba *Grand Orient de France*). Literatura i prasa, a więc główne środki wpływu na opinje, w znacznym stopniu zażydzone i w rękach masonerji. Teatry, kabarety, miejsca rozrywkowe, później kinematografy, duża ilość domów wydawniczych i księgarń we władzy żydów.

Do tego doprowadziła Francję przedewszystkiem działalność potężnego i wpływowego żyda, Adolfa Crémieux, który przez pewien czas miał nawet Gambettę za swego sekretarza.

W r. 1850 Crémieux założył *Alliance israélite universelle*. To była nazwa dla nie-żydów. Właściwie ten związek nazywał się *Habora Kol Izroel Haberim*. Manifest Adolfa Crémieux, ogłoszony przy założeniu *Alliance* głosił następujące dewizy: „Wszyscy żydzi za jednego i każdy za wszystkich; nauka żydowska powinna zapanować na całym świecie; największy nasz wróg, chrześcijaństwo — rozkłada się, trafione w głowę; naszą narodowością jest religja ojców naszych i nie uznajemy innej, nasza sprawa jest wielka i święta, jej pomyślne zakończenie jest zapewnione, sieć pajęcza, którą Izrael zarzucił na całą kulę świata, powiększa się i rozszerza z dniem każdym, a proroctwa naszych ksiąg świętych nareszcie się spełnią, bliski jest czas, w którym Jezuzalem stanie się domem modlitwy wszystkich narodów i ludów, tam flaga jedynego Boga żydowskiego powiewać będzie i zatknięta zostanie na najdalszych krańcach świata, umiejmy wykorzystywać nadarzające się sposobności, nasza potęga jest ogromna, uczmy się używać jej ku chwale zwycięstwa naszej sprawy. Czego mamy się obawiać? Niedalekim jest dzień, w którym wszystkie bogactwa, wszystkie skarby ziemi będą w rękach dzieci Izraela".

Adolf Crémieux, autor tego manifestu, był wielkim mistrzem masonerji, członkiem Rządu Obrony Narodowej, ministrem Francji, no i opiekunem Gambetty, a także członkiem triumwiratu, który rządził Francją w najcięższych chwilach, to jest po wzięciu Napoleona III do niewoli. Triumwirat ten stanowili: Crémieux, Gambetta i minister spraw zagranicznych Jules Favre, też mason, który w imieniu Francji podpisał warunki pokojowe, omówione poprzednio z Rotszyldem francuskim i Bleichroederem, żydowskim bankierem z Prus[1]).

Komitet centralny *l'Alliance*, założonej przez Crémieux, składał się z członków, mieszkających stale w Paryżu, i z członków, zamieszkałych we wszystkich ważniejszych ośrodkach kuli ziemskiej. Z pośród nazwisk, bardziej znanych szerokiej publiczności, warto przytoczyć z Paryża: barona Hirscha, Eug. Pereire, Józefa Reinacha, Victor'a Saint Paul, Hippolyte'a Rodriguesa, oraz Jules Opperta czyli Blowitza, żyda z Czech, a słynnego korespondenta z Paryża do „*Times*'ów" londyńskich. Odegrał on znaczną, a tajemniczą rolę w zakresie po-

---

[1]) Warto tu zauważyć, że w najcięższych chwilach dla narodu francuskiego, wtedy, kiedy Francja stała nad brzegiem przepaści, Rotszyldowie nie pożyczyli rządowi ani centa, owszem, czynili wszystko, aby przełamać opór Francji i zmusić ją do zawarcia hańbiącego pokoju. *Banque de France*, którego głównym akcjonarjuszem są Rotszyldowie, oprócz 6% domagał się jeszcze od Rządu prawa na zajęcie wszystkich hypotek lasów państwowych! Wtedy to (r. 1871) Anglik Morgan pożyczył Francji 400 milj. franków za zwyczajnem pokwitowaniem. Ten rok zrujnował wszystkich: chłopów, rzemieślników, robotników, kupców, przemysłowców i państwo. Ale akcjonarjusze „*Banque de France*" mieli 150 miljonów franków zysku. Ed. Denachy (*Les Rotschilds et la Banque de France*) podaje o tem szczegółowe i tak przeraźliwe w swojej nagości fakty, że ślepy zaczyna widzieć → prawdę.

lityki zagranicznej Francji, Niemiec i Anglji, oczywiście inspirowany i kierowany przez *l'Alliance* w myśl interesów żydostwa.

Nic dziwnego, że Crémieux interwenjował w sprawie złagodzenia wyroków, jakie zapadły na zdrajców i szpiegów, żydów, w czasie wojny 1870, a co więcej, zaaranżował zniknięcie z ministerjum spraw zagranicznych w Paryżu aktów śledztwa, które wykazywało winę złodziei żydów podczas wojny z Prusakami [2]).

M. W.

[2]) Według świadectwa dyplomaty rosyjskiego Girsy, sztab gener. pruski otrzymywał w r. 1870 od masonów francuskich, za pośrednictwem specjalnego biura w Bernie Szwajcarskiem, wszelkie wiadomości, dotyczące skarbu, stanu obrony, nastroju w Paryżu i t. p.

# NEOFICI ŻYDOWSCY NA ZACHODZIE EUROPY

JUŻ za czasów Antjocha Epifanesa (375—368) Judejczycy, zamieszkując w rozproszeniu po miastach Fenicji i Syrji, w najbliższem sąsiedztwie z Grekami, czynili ofiary obcym bogom. Kryjąc się z pełnieniem ustaw swego Zakonu, stawali się oni pozornymi poganami. Powstało nawet z czasem w Palestynie potężne stronnictwo Saduceuszów („*Cadukim*"), wywierające wraz z faryzejskiem przemożny wpływ na bieg wypadków krajowych, które dawało pierwszeństwo interesom społeczności judzkiej nad interesami Zakonu. Do Saduceuszów, w których skład wchodziła elita żydowska, należeli liczni grekofile, znani ze swego religijnego odszczepieństwa. Szeregi zaprzańców religijnych powiększyły się podczas rozruchów antyżydowskich w Aleksandrji, za czasów namiestników Bassusa. Setki Judejczyków przyjęły pozornie religję pogańską, składając ofiary jej bóstwom. Wielu z nich dostąpiło później w państwie rzymskiem wysokich godności. Z biegiem czasu coraz więcej było kandydatów wśród żydów do pozornego zerwania z wiarą swych ojców. Niektórzy z nich, dla ukrycia swojej przynależności do narodu judzkiego, pozbywali się za pomocą operacji znaku przymierza Abrahama. Byli i tacy, którzy przystępowali do pierwszych gmin chrześcijańskich, a czynili to tem skwapliwiej, że nie wymagało to od nich ciężkiej ofiary.

Ci pozorni odszczepieńcy pokazali swoje prawdziwe oblicze podczas powstania „Bar-Kocheby". Połączeni ze swoimi współbraćmi, zwalczali oni z całą zaciętością armje rzymskie. Dla zewnętrznego upodobnienia się z masą żydowską ci pozorni doniedawna poganie (którzy zatarli niegdyś sztucznie znak pochodzenia) poddawali się powtórnej teraz operacji. „Albowiem naznaczonemu tem piętnem zaprzaństwa", jak pisze historyk żydowski H. Graetz („Historja żydów". tom IV. str. 761), — „groziło wykluczenie z królestwa mesjańskiego".

Okrucieństwa, których dopuszczali się żydzi podczas powstania w stosunku do żołnierzy rzymskich, wywołały krwawe represje ze strony cesarza Hadrjana. Masy Judejczyków szukały ocalenia w pozornem przyjmowaniu pogaństwa. Uzyskało to aprobatę członków „Synhedrjonu" „Nauczyciele Zakonu", zgromadzeni w Liddzie, na wniosek r. Izraela uchwalili, że dla ocalenia życia wolno naruszyć wszystkie ustawy religijne judaizmu, oczywiście zewnętrznie. Uważali oni, że w przeciwnym razie wygasłoby pokolenie Abrahama. Wielu żydów przyjęło też pozornie chrześcjaństwo, do którego Hadrjan odnosił się z pewną życzliwością.

Poleceniom „Synhedrjonu" poddawali się chętnie nawet przedstawiciele wyższego rabinatu. Nie uśmiechała się im palma męczeństwa. Tak r. Meir uczeń r. Akiby udał razu pewnego na widok nadchodzących Rzymian, że spożywa zakazane potrawy, ażeby nie podejrzewano w nim żyda. Gdy mu z tego robiono zarzuty, odpowiedział przez parabolę: „Znajduję granat soczysty, zjadam ośrodek i wyrzucam łupinę". Nawet członkowie „Synhedrjonu" nie byli wolni od pozornego przyjmowania obcego wyznania. Za panowania dynastji Sasanidów w Persji, rektor akademji pumbaditańskiej, Raba Bar-Józef z Machuzy uprzywilejowanie „nauczycieli Zakonu" posunął tak daleko, że pozwolił im udawać czcicieli ognia, aby się mogli pozbyć opłaty pogłównego (H. Graetz. „Historja żydów". t. IV. str. 161). Za przykładem swoich przewódców szli „pobożni żydzi", którym nie brakło zapewne sposobności zyskania sympatji magów perskich. Niedarmo H. Graetz zaznacza, że nie słychać w tej dobie o męczennikach żydowskich za wiarę.

Od czasów cesarza Konstantego, który uczynił kościół chrześcijański dominującym, żydzi zaczynają porzucać pozornie wiarę swoich przodków, przeważnie na rzecz chrześcijaństwa. Kierownicy Kościoła szli początkowo na rękę usiłowaniom nowo-chrześcijan. Nie taili oni wprawdzie przed sobą, że pozyskani neofici będą tylko pozornymi chrześcijanami, ale liczyli na ich potomstwo. Papież Grzegorz I zwykł był mawiać: „zjednamy sobie, jeżeli nie ich samych (neofitów), to z pewnością ich dzieci". Nadzieje wyższego duchowieństwa podzielali władcy świeccy. Król francuski Chilperyk, który osobiście trzymał do chrztu żydów, zadowalał się pozorami nawrócenia i nie miał nic przeciwko temu, że nowochrzczeńcy dalej święcili sobotę i przestrzegali praw Judaizmu. Daleko gorzej układały się warunki dla neofitów żydowskich w Hiszpanji. Na rozkaz króla Sisebuta, nakazujący wszystkim żydom przyjąć w oznaczonym terminie chrzest, lub opuścić granice ziem wizygockich, dziesiątki tysięcy Judejczyków dało się ochrzcić. Ów chrzest przymusowy nie podobał się bynajmniej klerowi. Koncyljum toledańskie orzekło, że nie należy żydów nawracać przemocą. Co się tyczy neofitów, duchowieństwo postanowiło, że powinni oni wytrwać w chrześcijaństwie. Nowi chrześcijanie hiszpańscy lgnęli jednak całem sercem do religji swych przodków. Z tęsknotą wyglądali oni lepszych czasów, aby mogli zdjąć maskę i przejść otwarcie na łono judaizmu. Napróżno następcy Sisebuta zmuszali nowo-chrzczeńców do ślubowania, że wytrwają w religji chrześcijańskiej, zerwą stosunki z żydami, nie będą nadal zawierać związków małżeńskich z żydówkami i zachowywać żydowskich świąt. Po dawnemu neofici wypełniali przepisane nakazy wiary ojców, przygotowując w porozumieniu z prącymi naprzód mahometanami upadek państwa Wizygotów. Neofici i żydzi połączyli się ze zdobywcą muzułmańskim, Tarikiem, który przywiódł z Afryki żądne boju zastępy. Po bitwie pod Xeres (lipiec 711) wtargnęli zwycięscy Arabowie w głąb kraju, popierani wszędzie przez synów Jakóba. W zdobytych

grodach pozostawiali dowódcy nieliczne tylko załogi, potrzebując wojsk do dalszych podbojów i poruczali obronę ich żydom. Gdy Tarik stanął przed stolicą kraju, Toledo, nowo-chrzceńcy i żydzi, otworzywszy bramy arabskiemu zwycięzcy, witali go okrzykami radości, mordując staro-chrześcijan. Neofici hiszpańscy przeszli z powrotem na judaizm, upodobniając się zewnętrznie do Arabów.

Próby nawrócenia żydów na chrześcjaństwo czynione były też w tym samym czasie w państwie bizantyńskiem. Cesarz Bazyli Macedończyk rzucił się z wielkim zapałem do nawracania Judejczyków, urządzając dysputy religijne pomiędzy rabinami a duchowieństwem chrześcijańskiem. Jakoż wielu żydów bizantyńskich zmieniło wówczas wiarę. Uczynili to wszakże tylko dla oka. Zalewie bowiem umarł Bazyli, neofici zrzucili maskę i powrócili do religji swych przodków. Podobna rzecz odbyła się nieco później w państwie niemieckiem, gdzie wielu żydów przyjęło z różnych względów chrześcijaństwo. Przy najbliższej sposobności powrócili oni do judaizmu, a wsławiony uczonością talmudyczną r. Gerson zagroził klątwą każdemu, ktoby wymawiał im chwilowe odstępstwo. Najwięcej żydów jednak garnęło się w Niemczech do chrztu w okresie wypraw krzyżowych. W Spirze, Wormacji, Moguncji i wielu innych miastach nadreńskich tysiące Izraelitów szukało w pozornem przyjęciu chrześcijaństwa ocalenia przed wzburzonemi tłumami zrujnowanych lichwą tubylców. W ich ślady poszli żydzi czescy, trudniący się handlem młodzieżą słowiańską, którą wywozili do Hiszpanji. Duchowieństwo katolickie nie było zadowolone z masowego napływu pozornych chrześcijan. Biskup praski Kosmas kazał przeciwko temu. Książęta kościoła posuwali swoją dobrą wolę względem żydowskich neofitów do tego stopnia, że dopomagali im często do powrotu na judaizm. Słynny Bernard z Clairvaux zaprowadził setki pozornych chrześćjan z Nadrenji i Czech do Francji i innych krajów, gdzie zabawili oni tak długo, aż ich „krótka przynależność do Kościoła poszła w niepamięć, poczem wrócili do Ojczyzny i na łono swej wiary“. (H. Graetz: „Historja żydów“ t. V. str. 173—4).

Nowochrzceńcy w Niemczech nie zdążyli jeszcze ochłonąć z trwogi, gdy wśród żydów Afryki północnej rozpoczął się analogiczny ruch w kierunku przyjmowania pozornego mahometaństwa. Lubo wielu Izraelitów berberyjskich nawróciło się na wiarę muzułmańską, nader szczupła jeno garstka traktowała Islam poważnie. Większość wyznawała go tylko pozornie, nie żądano bowiem od niej niczego więcej, jak żeby uwierzyła w misję proroczą Mahometa i od czasu do czasu odwiedzała meczet. To też synowie Jakóba przestrzegali skrycie jak najskrupulatniej przepisów judaizmu, zwłaszcza że kapłanie mahometańscy nie śledzili życia renegatów. Nawet bogobojni rabini decydowali się na ten krok niemiły, uśmierzając wyrzuty sumienia tem, że przecież nie kazano im bić czołem bałwanom, lub wyprzeć się wiary żydowskiej, lecz tylko wymówić formułę, że Mahomet jest prorokiem. Jako pozorni muzułmanie oddawali się uczeni żydowscy w Afryce gorliwie studjom talmudu i zbierali w uczelniach żądną wiedzy młodzież, która musiała też uczęszczać na wykłady Koranu. Za przykładem żydów afrykańskich poszli ich rodacy hiszpańscy. W Kordubie, Toledo i Lucenie większa część Judejczyków przyjęła pozornie Islam, zachowując potajemnie ustawy religji żydowskiej. Doszło do tego, że Andaluzja mahometańska nie miała w swych granicach żydów, wyznających jawnie swą wiarę. Jeżeli pokazał się tam Izraelita, to chyba pod maską wyznawcy Islamu Z Hiszpanji hasło pozornego zrywania z wiarą swych ojców poszło dalej na północ. Dla dóbr doczesnych żydzi w Paryżu i jego okolicach przyjmowali setkami chrzest.

Znalazł się jednak w tym czasie pewien pobożny pisarz żydowski, który posunął się do twierdzenia, że żydzi, którzy pozornie nawrócili się na Islam i chrześcijaństwo, powinni być traktowani jako odszczepieńcy i bałwochwalcy. To pismo żarliwca wywołało wśród potajemnych żydów w Afryce i Europie wielkie wzburzenie. Przewódcy Izraela, uczuwszy całą wagę oskarżeń, wytoczonych przeciwko pozornemu odszczepieństwu i zaniepokojeni ich szkodliwemi skutkami dla przyszłości wybranego narodu, postanowili usprawiedliwić postępowanie rzekomych chrześcijan i muzułmanów. Z upoważnienia Synhedrjonu zabrał głos, cieszący się wielką popularnością wśród mas żydowskich, Mojżesz Majmuni, wyznający pozornie Islam. W swem dziele, ogłoszonem około r. 1160—1164, wykazał on przedewszystkiem, że częściowe wykroczenie przeciw ustawom judaizmu nie stanowi jeszcze bynajmniej odszczepieństwa. Bałwochwalczy Izraelici za czasów rzymskich uważani byli zawsze za członków ludu bożego. My zaś, ciągnie dalej Majmuni, nie hołdujemy zgoła bałwochwalstwu. Niewątpliwie talmud nakazuje każdemu żydowi ponieść śmierć męczeńską, gdyby był naglony do trzech grzechów głównych, zwłaszcza do bałwochwalstwa. Wszelako kogo nie stać na męstwo męczennika, ten za swoje uchybienie nie podlega żadnej karze ze strony zakonu, nie może też bynajmniej, z punktu widzenia talmudycznego, być uważany za odstępcę i człowieka nie zasługującego na wiarę. Tak sformułowaną odpowiedzią starał się Majmuni o utrzymanie w judaizmie pozornych mahometan i chrześćjan.

Takie postawienie sprawy zjednało mu powszechne uznanie. Zaczęto zwracać się doń z kwestjami religijno-prawnemi.

Majmuni uchodzi za miarodajny autorytet rabiniczny. Obsypywano go najszumniejszemi pochwałami. „Jedyny za naszych czasów“, „sztandar rabinów“, „oświeciciel oczu Izraela“, były ogólnie używanemi tytułami. Imię Majmuniego rozbrzmiewało od Hiszpanji do Indji, od Eufratu i Tygrysu do Arabji południowej i zaćmiło wszystkie wielkie współczesne sławy żydowskie. Najuczeńsi mężowie przyjmowali bez zastrzeżeń jego zdanie i prosili go w pokornych wyrazach o pouczenie. Uznano go za najwyższy autorytet powszechności żydowskiej, która w nim czciła swego najgodniejszego przedstawiciela. Napróżno wpływowy żyd Abul-Arab Ibn-Moisza, który ocalił niegdyś Majmuniego w Fezie, wystąpił przeciw niemu ze skargą, że był dawniej wyznawcą Islamu, a tem samem podlega karze jako odstępca. Najwyższy trybunał żydowski osądził, że pozorna zmiana wiary nie ma żadnego znaczenia i żadnych skutków pociągnąć za sobą nie może. Mało tego, egzylarcha z Mossulu, Dawid Ben-Daniel, który ród swój wywodził od króla Dawida, z dwunastoma członkami swego kolegjum obłożył klątwą tych wszystkich, co się źle wyrażali o Majmunim i jego pismach. Podporządkowały się mu dobrowolnie gminy na Wschodzie i Zachodzie.

Nigdzie idee Majmuniego nie znalazły jednak żyźniejszego gruntu, nigdzie nie doznały gorętszego przyjęcia, jak w gminach żydowskich Francji południowej. Rabini tamtejsi żywili niezmierną cześć dla „szczerze religijnego filozofa i najbogatszego w myśli rabina“ (tak nazywa Graetz Majmuniego) i z większą lub mniejszą zręcznością korzystali z jego idej, jako niewątpliwie przydatnych do wzmocnienia religji. Nawet skrajnie ortodoksyjni talmudyści w Prowancji zawsze przemawiali językiem Majmuniego, ilekroć wyłuszczali swe poglądy na wiarę. Rezultatem tego było masowe przyjmowanie pozornego chrześcijaństwa dla określonego zgóry celu.

Tak ścisłe zastosowanie się do poleceń „drugiego Mojżesza“ (Majmuniego) nasuwa przypuszczenie, że już w owym okresie kierownicze sfery żydowskie zamierzały rozpocząć szerszą akcję polityczną, dla której przeprowadzenia potrzebna była większa ilość żydów, upodobnionych zewnętrznie do autochtonów. Rozpoczęto mianowicie akcję szerzenia niedowiarstwa wśród starochrześcian, przygotowując tym sposobem podłoże dla bujnego rozrostu sekty Albigensów, która wypowiedziała posłuszeństwo Kościołowi katolickiemu. „Żydzi (czytaj—pozorn iodszczepieńcy) i chrześcijanie tamtejsi“, — zaznacza Graetz w swojej „Historji żydów“ t. V. str. 195, — „hołdowali poglądom wolnomyślnym. Wielu z nich należało do sekty Albigensów“.

Inteligencja żydowska Francji północnej i Anglji, zagłębiona w pisma Majmuniego (który, jej zdaniem, umiał pojednać ścisłą religijność z wolnem badaniem) nawet po pozornem porzuceniu wiary swych ojców nie straciła kontaktu z wierzącymi współbraćmi.

Opinja publiczna zarzucała żydom, że utrzymują z nowymi chrześcijanami przyjacielskie stosunki, zapraszają ich w soboty i święta do synagogi, każą im klękać przed torą i t. p. Zainteresował się tem papież Honorjusz IV i duchowieństwo krajowe. Doszło do krwawych rozruchów i ogłoszenia banicji wszystkich niechrzczonych żydów z Francji i Anglji.

(Dok. n.) STANISŁAW DIDIER

# NA ZGLISZCZACH SPUŚCIZNY KSIĘCIA JEREMIEGO

## Z GAWĘD STAREGO EMERYTA[1])

Czas i kataklizmy historyczne—to najpotężniejsza siła, ścierająca z oblicza ziem i narodów przyrodzone lub nabyte właściwości. Cytadela polskości, za czasów Jeremiego Wiśniowieckiego na Zadnieprzu, Łubnie — w zupełności to stwierdza. Prócz uroczej miejscowości nad rzeką Sułą, z przepiękną perspektywą na okolicę, z góry zamkowej nie pozostało nic, coby mogło przypomnieć świetną, rycerską i pełną chwały epokę księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Zamek zniknął doszczętnie. Wogóle o Łubniach, jako wspaniałej rezydencji książęcej, „*nec locus ubi Troia fuit*“, powiedzieć można.

Wspaniały, w stylu Ksenofonta *exodus* Księcia Jeremiego, na odsiecz zagrożonej przez Chmielnickiego i sprzymierzonych z nim tatarów Rzeczypospolitej, osierocił ogromne obszary Ukrainy za Dnieprem, unosząc z księciem-wodzem jego potężny autorytet oraz wolę niezłomną, z którą pospólstwo hajdamackie liczyło się bezapelacyjnie. W okresie dalszych dziejów Ukrainy zadnieprzańskiej zanik polskości, wobec warunków historycznego i lokalnego charakteru, postępował automatycznie i w szybkiem stosunkowo tempie. Rosja zwycięsko zwalczała tu i polskość i wyznanie rzymsko-katolickie. Za czasów bytności mojej tutaj w końcu XIX-go stulecia, zastałem na przestrzeni czternastu powiatów jeden jedyny kościół rzymsko-katolicki, w Połtawie.

Wobec braku duchowieństwa katolickiego oraz cmentarzy, arcynieliczni ziemianie Polacy grzebali swoich zmarłych we własnych parkach na poświęconem miejscu. Taki cmentarz, w bardzo ładnym parku, spotkałem w Lemieszówce, majątku państwa Neigowskich w powiecie Pirjatyńskim. Spotykałem przy traktach stepowych wielkie kurhany, na których piękne pomniki, okolone żelaznem ogrodzeniem, stosownie do ostatniej woli ziemianina Polaka, czuwają nad nietykalnością zwłok jego w stepie. W ten sposób pochowany jest ś.p. Golenkowski ziemianin powiatu Pryłuckiego.

Zapytany przezemnie woźnica: „co to za pomnik“, odpowiedział bez żadnego namysłu: „*ce pany na stepu walajutsia*“. Ileż tu pogardy i nienawiści w tych kilku słowach. Podobna odpowiedź dostatecznie uwypukla nastroje i poglądy ukraińskiego pospólstwa, które każdego śmiertelnika nie chłopa poczytuje za bezwzględnego wroga, nie przebaczając nawet nieboszczykom tego, że byli panami. To też, niezależnie od doktryn Marxa, z radością wyzyskuje chłop każdą okazję, gdzie można rżnąć i rabować panów, bez względu na to, jaką jest ich narodowość i wyznanie wiary.

Rzeczka Śleporod pod Pirjatynem, o której Sienkiewicz pisze w swej trylogji, i obecnie tuli do się po obu brzegach szereg majątków ziemskich i chutorów, w których gospodarzą ziemianie o polskich nazwiskach: Jabłonowskich, Górzyckich, Sawickich, Sokalskich, Karasiewskich, Gierbaniewskich i wielu innych. Nie wszyscy jednak z wymienionych i niewymienionych są dotąd wyznania rzymsko-katolickiego. Otoczenie, ogólny brak świątyń katolickich oraz małżeństwa katolików z prawosławnemi musiały z czasem zrobić swoje.

Spotykamy tu i panów o fortunach magnackich i o znanych nazwiskach polskich. Mam tu na uwadze braci Tarnowskich, Włodzimierza z Antonówki i Bazylego z Kaczanówki. Bazyli Tarnowski zasłynął, jako patron i protektor literatury i sztuki. Gogol, Szewczenko, profesor Makowski i cały szereg poetów i powieściopisarzy rosyjskich, oto stały poczet rezydentów magnackiej Kaczanówki

[1]) Opowiadanie p. Kossobudzkiego, bardzo interesujące ze względu na nasze tradycje kresowe, zamieszczamy w tej formie, w jakiej je skreślił autor, b. urzędnik skarbowy w służbie rosyjskiej. Red.

Tarnowskich. Znane płótno prof. Makowskiego „Uczta bojarów“ malowane było w Kaczanówce, gdzie wśród pozujących bojaryń w kokosznikach i sarafanach były piękne panie z rodziny Tarnowskich oraz najbliższe ich otoczenie. Petersburg pamiętał o polskich ziemiach, na których dominował ongiś książę Wiśniowiecki. Ogromne dominja nadawano szczedrobliwie za zasługi państwowe, częściej bez żadnych zasług. W orbicie Wiśniowiecczyzny spotykamy Zgórowkę, wspaniałe, ogromne dominjum, nadane Koczubiejowi przez Piotra Wielkiego za denuncjację w związku z polityczną konwencją hetmana Mazepy z Karolem XII przed bitwą połtawską. Razumowszczyzna w bezpośredniem sąsiedztwie Zgórowki, dominjum o dużej przestrzeni stepowej, nadana była przez córkę Piotra, carową Elżbietę psalmopiewcy, z biegiem czasu kanclerzowi Razumowskiemu, za osobiste względem carowej zasługi. Erotyczne zasługi masztalarza, później księcia Potiomkina, berejtera Świeczki i innych były sowicie wynagradzane przez carową, nie świętej pamięci Katarzynę II-gą posiadłościami, związanemi przez historję z rycerskim księciem Wiśniowieckim. Ziemie Zadnieprza, rozdawane przez carów Repninom, Golicynom, Bariatyńskim, Gorczakowym i wielu innym, przechodziły do rąk ludzi powszechnie w Rosji znanych i zasłużonych. Wśród podobnych donacyj spotkałem tu dominjum księcia Dołgorukowa, Ciepłówkę, zwracającą uwagę przepięknym pałacem, parkiem i wszystkiemi inwestycjami, pomyślanemi z iście książęcym rozmachem.

Tu Aleksander II wyznaczył wielkie manewry, zwróciwszy uprzednio swą monarszą uwagę w Smolnym Instytucie na piękną księżniczkę Dołgorukową, z biegiem czasu morgantycznie zaślubioną z carem pod nazwiskiem hr. Jurjewskiej. Parotygodniowe manewry były serją wspaniałych bankietów po których, jak mi to mówiono w Ciepłówce, car z trudem trzymał się na koniu.

Bezskutecznie car Aleksander II-gi, po skończonych manewrach, chciał zniewolić księcia Dołgorukowa do przyjęcia odeń znacznych sum za furaże dla wojsk i koni podczas manewrów. Książę pomimo silnie nadszarpniętej fortuny, nie przyjął nic.

Niebawem po manewrach skończyły się ferje dla instytutek Smolnego. Księżniczka Dołgorukowa powróciła do Petersburga. Książe Dołgorukow zachorował w zupełnem osamotnieniu na *spleen* i wyjątkowe podrażnienie nerwów. Po otrzymanych dyskretnie wieściach z Petersburga, książę Dołgorukow począł pić na umor. W krótkim czasie, porażony alkoholem, padł bez życia na drodze, łączącej własną jego karczmę z pałacowem podwórzem. Wszystkie wszakże krzywdy moralne i materjalne księcia okrutna Nemezyda pomściła z nadmiarem. W tym samym powiecie Pirjatyńskim, gdzie odbywały się manewry carskie z tragicznemi konsekwencjami dla gościnnego księcia Dołgorukowa, uknuto spisek na życie Aleksandra II-go w majątku wdowy, pani Krynickiej „Kalinowy Most“, gdzie przed śmiercią cara spędzili parę miesięcy: Żelabow, Rysakow, Kibalczyc, Perowska, Hesia Helfman i Hryniewiecki, czynni uczestnicy spisku. Stan majątkowy pani Krynickiej, naiwnej, dobrodusznej, spropagowanej i wyeksploatowanej doszczętnie przez koryfeuszów socjalizmu wdowy, spowodował pomieszanie zmysłów, a następnie rychłą śmierć nieszczęśliwej kobiety.

Wszyscy wymienieni goście „Kalinowego Mostu“ skończyli na szubienicy. Jedynej Hesi Helfman odroczono spełnienie wyroku z powodu odmiennego stanu, w którym się podówczas znajdowała. Na świat przyszedł syn, którego, wobec stracenia Hesi Helfman, wzięli z sobą na wychowanie państwo Kereńscy z Taszkientu, gdzie p. Kereński zajmował stanowisko Naczelnika Okręgu Szkolnego. Zacni opiekunowie sieroty, usynowili syna Hesi Helfman, dali mu najstaranniejsze wychowanie i wykształcenie, ani na chwilę nie przypuszczając, że tulą do łona swego żmiję ku zgubie Rosji.

Wersję o pochodzeniu Kereńskiego, po politycznym jego upadku, słyszałem opowiadaną dyskretnie w wyższych sferach Taszkientu, Kaukazu i w samej Rosji.

Kilka lat które spędziłem przed wojną za Dnieprem, w dzielnicy dawnej Rzeczypospolitej, ujawniło mi cały ogrom utraty tych złotodajnych terenów, gdzie dominował książe Jeremjasz Wiśniowiecki. Wszak to 14 późniejszych powiatów, które tu dla ścisłości wskażę: Lubieński, Połtawski, Pirjatyński, Romieński, Perejasławski, Łochwicki, Hadziacki, Zieńkowski, Kremieńczugski, Konstantynogrodzki, Mirgorodski, Pryłucki, Chorolski i Zołotonoski. W tym ostatnim powiecie spotykałem kolonje żydowskie, założone dla próby za czasów panowania Mikołaja I-go na złotodajnych ziemiach w okolicy Zołotonoszy. Kolonistom żydom nadano tu ziemie, pobudowano domy mieszkalne oraz budynki gospodarcze, dano inwentarz żywy, narzędzia rolnicze i t. d. Z biegiem czasu w kolonjach począł się *„exodus“* do miast, wreszcie całe żydostwo ulotniło się bez śladu. Taka przyszłość czeka niechybnie kolonje żydowskie, ufundowane przez bolszewików z zastosowaniem wszystkich gospodarczych urządzeń, w południowej Ukrainie i na Krymie.

Na ogromnych obszarach ziem naszych za Dnieprem były dominja Żółkiewskich, Koniecpolskich, Lanckorońskich, Jabłonowskich i wielu innych rycerskich rodzin... Siła watażków hajdamackich oraz Moskwy starła ostatnie ślady polskości i wielkich Polaków na Zadnieprzu. Dygnitarze rosyjscy, do których przeszły ziemie polskie, spędzali co roku zaledwie parę miesięcy letnich w swych rezydencjach, zamieszkując stale w Petersburgu lub zagranicą. Administratorzy wielkich majątków, pod nieobecność swych chlebodawców, żyli z przepychem, jeździli karetami w poszóstnych zaprzęgach z forysiami, słowem — działo się tym panom zapewne lepiej, niż ich chlebodawcom. Pamiętam w powiecie Pryłuckim przepiękny majątek hrabiny Rachmaninowej, Wejsbachówkę. Plenipotentem i administratorem wszystkich majętności hrabiny był Paszkiewicz. Wieczna nieobecność hrabiny w Wejsbachówce sprawiła, że po kilku latach gospodarki p. Paszkiewicza, który otrzymywał 18 tysięcy rubli pensji rocznie, Wejsbachówka zagrożona była sprzedażą jej za długi. Tu niezaradną i ufającą nadto plenipotentowi hrabinę wyratowała finansowo jej bogata rodzina pod warunkiem, że Paszkiewicz będzie niezwłocznie zwolniony od obowiązków służbowych. Na miejsce Paszkiewicza zainstalowano agronoma ze Szwajcarji, który skończył Hall, człowieka o dużej wiedzy i wieloletniej praktyce. Po czterech latach administrowania Wejsbachówki przez szwajcarskiego agronoma zdarzyło mi się być u niego.

Wysoki, atletycznej budowy, uprzejmy i wielce sympatyczny, z pierwszego rzutu oka gospodarz, przedstawił mnie dwu siostrom, które wraz z bra-

tem zamieszkiwały w Wejsbachówce. Po krótkiej konferencji i smacznem wiejskiem śniadaniu pojechaliśmy lekkim kabrioletem oglądać plantacje tytoniu, które, interesując mnie specjalnie, spowodowały mój przyjazd tutaj, do majątku hrabiny Rachmaninowej. Wrażenie, jakie odniosłem przy tych oględzinach, przeszło wszelkie me oczekiwania. Zapisałem w moim notatniku: plantacje tytoniu, machorki w Wejsbachówce, — „200 dziesięcin o wydajności domniemanej 250 pudów z dziesięciny".

Tytoń podówczas płaciło się po 3 rb. za pud. Podobnych obszarów pod plantacjami tytoniowemi nie spotykałem nigdzie, oprócz chyba plantacji p. Aleksandrowicza w Bogdanówce pod Pryłuką i p. Sawickiego, który prócz machorki kultywował i tytonie wysokogatunkowe, w Pirjatyńskim powiecie. Przeciętny obszar pod plantacjami 1 — 50 dz. o wydajności machorki 150 pd.

Olbrzymie zbiory tytoniu zakupywane były przez Wachromiejowa, Dunajewa, Rymarenkę i szły w swoim czasie przeważnie do Romna, Moskwy i Jarosławia, które zarzucały wyrobami tytoniowemi nietylko europejską i azjatycką Rosję, lecz w znacznej ilości eksportowały towar do ościennych państw wschodnich.

W Wejsbachówce, po czterech latach gospodarki nowego administratora, wszystkie długi zostały spłacone, majątek bowiem dawał intratę, o jakiej hr. Rachmaninowa nie marzyła nigdy. Wogóle gleba na całym obszarze ziem Ukrainy na Zadnieprzu nadaje się do kultywowania wysokowartościowych roślin. Tytoń, wielkie plantacje melonów, arbuzów i kawonów, łany pszenicy, stepy, przeznaczone dla wypasu wołów, które w pożądanej już formie transportowało się do Moskwy, Petersburga, Warszawy, Kijowa i innych miast wielkich. Wszystko to przy dobrych chęciach i pracy ludzkiej mogło gwarantować nadzwyczajny dobrobyt rolnikowi.

Rdzeniem poczynań kulturalnych były tu „Ziemstwa", konstruowane na podłożu wyborów. Szkoły, szpitale, drogi, gospodarcze zagadnienia i t.d. regulowało się przez zarządy ziemskie, złożone przeważnie z ludzi wykształconych, znanych i fachowych. Tak np. za moich czasów w powiecie Hadziackim marszałkiem szlachty był p. Tumański, który skończył wydział przyrodniczy w Lipsku, członkami zarządu byli: Wojno, agronom z wyższem wykształceniem, Poletyka dr. medycyny, Conradi skończył wydział agronomiczny zagranicą, Borsukow skończył wydział prawny i wojskowo prawną akademję w Petersburgu. Komplet ziemstwa w powiecie Hadziackim nie stanowił rzadkiego wyjątku.

We wszystkich powiatowych zarządach ziemstw można było spotkać działaczy dobrej woli, zdolnych i wykształconych. Plagą społeczną byli podówczas różni agitatorzy, przeważnie seminarzyści— popowicze i strzyżone socjalistki, psując do cna atawistycznie rozwydrzone i chciwe hultajstwo ukraińskie, nienawidzące pana bez różnicy wyznania i narodowości, dlatego jedynie, że pan ma więcej ziemi odeń i żyć może więcej dostatnio. Przy pierwszych pobudkach ostatniej rewolucji czerń chłopska rzuciła się na dwory obywatelskie z nożem, toporem, piłą i ogniem, torturując panów i ich rodziny, do niemowląt włącznie. Setki zacnych ludzi, znajomych moich i krewnych, legło tu pod nożem hajdamackim, który przy każdej okazji jest narzędziem stosowanym przez tamtejszego Ukraińca do bezbronnych panów. To też na obszarach dawnej Wiśniowieczczyzny, z powodów czysto lokalnych i komunikacyjnych, cała inteligencja wycięta była w pień. Kara Boska wszakże nie dała długo na się czekać. Zrabowane ziemie panów wciela się do kolektywów, stawiający opór chłop, zakuty w dyby, pędzony jest setkami tysięcy na Sybir, by tam waląc i karczując lasy w tajgach bezbrzeżnych, o głodzie i chłodzie, zakończyć swój zbrodniczy żywot. Pozbawiony ziemi Ukrainiec pracuje jak helota grecki od świtu do nocy, na rzecz sowieckich kolektywów, przeklinają, w duszy, że mu zrabowano nożem i siekierą zdobyte mienie...

JÓZEF KOSSOBUDZKI

# CHESTERTON O PACYFIŹMIE

DLACZEGO wszystkie broszury, publikacje, wypowiedzi publiczne i konferencje, traktujące o potrzebie pokoju międzynarodowego, są tak straszliwie tępe i nudne? Nie dlatego, żeby sprawa nie miała być interesująca z moralnego punktu widzenia. Nie dlatego, żebyśmy byli na tyle głupi, iżeby podniecać się samym melodramatem militarnym. Ludzie żywi są o wiele bardziej interesujący od martwych; napewno też musi istnieć jakaś możliwość stworzenia literatury, poświęconej zagadnieniom utrzymywania ich przy życiu. Wszyscy jesteśmy pacyfistami w tym sensie, że wszyscy chcemy pokoju, choć zapewne nie pokoju za wszelką cenę. Jest jednakże coś w sposobie traktowania przedmiotu, albo w myślach czy motywach, jakie zwykle za nim się ukrywają, coś, co każe nam się buntować przeciw zimnej i bezosobowej pedanterji, która zupełnie nie sprawia wrażenia występowania rzeczywiście w obronie życia. Trochę nam się wydaje, że tacy moraliści staliby się znacznie bardziej żywi, gdyby przestali żyć. Mówiąc to, uchylam się od wszelkiej odpowiedzialności za czyny tych, którzy lubią brać rzeczy dosłownie; nie mam bynajmniej zamiaru wystrzelać owych ludzi jako zdrajców, ani spalić ich jako heretyków. A pozatem rodzajowi ludzkiemu nigdy dotąd, nawet w jego najciemniejszych i najbardziej mściwych czasach, nie udało się wynaleźć tortury, czy formy śmierci, będącej odpowiednią karą dla nudziarzy.

Mam jednakże pewne podejrzenie co do niektórych racyj, jakie się kryją poza tem deprymującem wrażeniem. Poczęści sądzę, że wyjaśnienie tej kwestji można znaleźć w zdaniu, które już kiedyś dawno temu wypowiedziałem: że, mianowicie, idealiści tego rodzaju stracili poczucie wspólnoty społecznej z ogromną częścią społeczności ludzkiej. Ustosunkowali się nieprzychylnie do wszystkich żołnierzy i duchownych, do większości kupców, a szczególnie kupców obdarzonych przedsiębiorczością, do wszystkich królów i książąt, zarówno jak do większości władców wogóle, z irytacją tylko myślą o wszelkiej szlachcie, czy arystokracji, przyzwyczaili się wyśmiewać z „burżuazji", lub szanownej klasy średniej, uczono ich również zawsze,

że lud wiejski jest zacofany, przesądny i zawsze są gotowi uwierzyć, iż robotnicy nie nadają się zupełnie jako materjał do budowy prawdziwego Państwa Naukowego, czy utopji Inteligentów — odrzuciwszy zaś następnie wszelkie tradycje ludzkie i wzgardziwszy niemi, jako sprzecznemi z takiem czy owakiem, nowem ich pojęciem postępu, stanęli ostatecznie w obliczu „ludzkości", którą mogą sobie kochać w abstrakcji, ale nie w rzeczywistości. Nie pozostanie zbyt wiele z ludzkości, po odrzuceniu wszystkich tych, których oni uważają za przeszkody w jej postępie. Dlatego to każdy nakreślony przez nich zarys „świata bez wojny" jest taki sztywny i pusty. Są bowiem zdolni do tworzenia map i diagramów na temat możliwości unikania śmierci — ale nie potrafią tworzyć obrazów; mianowicie obrazów ludzi, używających życia. Ich nieludzki pogląd na ludzkość objawia się szczególnie w nieludzkim poglądzie na historję. W historji nie potrafią sympatyzować nawet z tymi ludźmi, którzyby z nimi sympatyzowali. Jeden z przesądów ich, które przeważnie są przesądami pychy, polega na przeświadczeniu, że są naprawdę w stanie pogardzić przeszłością. A przecież mogą oni tylko wyglądać przyszłości, ale nie mogą jej oglądać. Przyszłość nie ma oblicza; żadnych rysów, któreby się śmiały, czy chmurzyły; żadnych wspomnień, nic, coby pozwoliło nam zbliżyć się w niej do kogokolwiek, czy czegokolwiek. Jedyna rzecz, którą ci ludzie mogą wiedzieć o swej potomności, to, że będzie ona w ten czy inny sposób powołana do życia i dlatego jedyną rzeczą, o którą pozostaje im się troszczyć, jest zabezpieczanie ludzi przed śmiercią. Przynajmniej przed śmiercią na polu chwały; bo co do samej śmierci, najskrajniejszy nawet pacyfista musi się zgodzić na wcale skromny kompromis.

Ktoś był łaskaw przesłać mi nowy perjodyk, zwany *Biosophical Review* (Przegląd biozoficzny), który ilustruje bardzo dobrze powyższe moje uwagi; szczególnie w przedmiocie stosunku do historji. Przypuszczam, że biozofista jest dalszym warjantem antropozofisty, który dalej sam był warjantem teozofisty. Ponieważ ten ostatni oznacza człowieka mądrego w sprawach boskich, drugi człowieka mądrego w sprawach ludzkich, pierwszy zapewne ma oznaczać człowieka mądrego w sprawach życia. Inaczej moglibyśmy mieć pokusę zrobienia przypuszczenia, że biozofista, to sofista mówiący o życiu, antropozofista, sofista mówiący o człowieku, teozofista zaś, to sofista mówiący o Bogu, czy bogach. Porzucając te nowe i bardziej sporne drogi rozumowania, możemy się zadowolić zauważeniem, że przegląd powyżej wzmiankowany, albo przynajmniej wyżej wzmiankowany jego numer poświęcony jest „wychowaniu pokojowemu" i wielu aspektom potrzeby międzynarodowego zapobiegania wojnie. Zabiera tam głos wielu wybitnych ludzi, ale nawet ci wydają się o wiele mniej interesujący, niż wtedy, gdy wypowiadają swe poglądy na inne kwestje. Wolałbym czytać, co mówi Einstein o planetach, a Maeterlinck o pszczołach, aniżeli czytać ich wynurzenia na temat pokoju, choć w teorji zdawałoby się, że chodzi tu o kwestję utrzymania przy życiu rzeczy o wiele bardziej interesujących od planet, czy pszczół: mianowicie ludzi. Ale kilku z zabierających głos ilustruje również owo historyczne wyjaśnienie sprawy, o którem wspomniałem. Że, mianowicie, pacyfiści są za bardzo odcięci od przeszłości; a nawet od pacyfistów przeszłości. Oto jeden z charakterystycznych przykładów:

„Wielką przeszkodą, uniemożliwiającą ustanowienie prawdziwych szkół pokoju i Stanów Zjednoczonych Świata, jest nacjonalizm. Nacjonalizm jest dzisiaj maską egoizmu, jak była nią w średniowieczu scholastyka. W tym okresie historji scholastyka podtrzymywała teologję i tem przyniosła ruinę religji. Politycy dzisiejsi są odpowiednikiem wczorajszych teologów. Teologja nie pomogła ludzkości, tak jak politycy pozbawieni etyki nie mogą nic pomóc ludzkości".

Nie mogę sobie wyobrazić czegoś bardziej opacznego, czegoś będącego jaskrawszem odwróceniem prawdy. Jakiekolwiek byłyby błędy scholastyków średniowiecznych, w każdym razie byli bliżsi pokoju międzynarodowego, niż ktokolwiek inny. Bardzo wiele było pychy i kłótni, drażniących ambicyj i destrukcyjnej nienawiści u feudalnych panów i świeckich książąt średniowiecza. Ale teologja scholastyczna, gdziekolwiek miała wpływ, nieustannie próbowała wnieść jakiś ład w to zamieszanie i dać wszystkim tym ludziom międzynarodowe prawo sprawiedliwości, któreby umożliwiło wszystkim życie w pokoju. Najwięksi z teologów scholastycznych, jak święty Tomasz z Akwinu, skierowywali cały swój system polityczny i etyczny prawie wyłącznie ku jedności międzynarodowej i pokojowi. Scholastyka, chociaż zdegenerowała się intelektualnie, nie straciła nigdy całkowicie swej wartości moralnej; nawet wtedy, gdy ostatni dawni scholastycy stali się tylko grupą, prawie takich samych nudziarzy jak nowocześni pacyfiści.

Mamy tutaj mały, ale typowy przykład błędu, kryjącego się za wszystkiemi sporami i kłótniami: niemożności sympatyzowania z istotami ludzkiemi, różnemi od nas. Pacyfista nie chce uczciwie traktować średniowiecznego scholastyka, zupełnie tak samo, jak w średniowieczu Anglik mógłby nie chcieć oddać sprawiedliwości Szkotowi. Nie chce zauważyć faktu, że chociaż zarówno średniowieczny Anglik jak średniowieczny Szkot mogli łatwo być przejęci drażniącą zaciekłością, to w każdym razie, gdzie tylko średniowieczny scholastyk miał coś do powiedzenia, działał zawsze w kierunku pogodzenia ich we wspólnym porządku chrześcijaństwa. Ponieważ krytyk pacyfistyczny przypadkowo nie znosi żadnych asocjacyj, związanych ze scholastyką, pozwala sobie zamknąć oczy na wszystkie zasługi, zatkać uszy na wszystkie argumenty całej, bardzo ciekawej grupy historycznych istot ludzkich. Przytacza przeciwko nim argumenty, które nie wytrzymują ani przez chwilę próby logicznego rozważenia; stawia im zarzuty, będące odwróceniem prawdziwego stana rzeczy. Coprawda tak właśnie zaczynają się wszystkie spory; i tak też zaczynają się wszystkie wojny. Nacjonalizm, nawet gdyby pogardzał innemi krajami, nie jest ani o włos gorszy, ani też bardziej nie przypomina „maski egoizmu", od owej pogardy dla innych wieków, która każe nazywać biednych starych scholastyków egoistami. Jeżeli mamy próbować zrozumieć obce kultury w świecie współczesnym, powinniśmy także popróbować zrozumieć obce kultury w świecie historycznym. A pacyfista nie jest ani krztę lepszy od pierwszego lepszego militarysty; ponieważ nawet nie próbuje.

(Przekład z „*Our Note-book*" w „*the Illustrated London News*" nr. 4946 z dnia 3 lutego 1934 r.).

# NA WIDOWNI

**Święta przy *bridge*'u. — Wnioski z Burckhardt'a. — Wszechstronność renesansowa i dzisiejsza specjalizacja.— *Bridge* zredukowanej inteligencji.**

ZNACZNĄ część wypoczynku świątecznego użyłem w sposób, najbardziej dziś wśród warstwy oświeconej w Polsce rozpowszechniony: grałem w *bridge*'a. Nie chcę mówić nic niepochlebnego o tej rozrywce: czas upływa przy niej szybko, jest zajmująca. Na uwagę zasługują wszakże jej znaczenie i rola, jakie w ostatnich czasach zdobyła sobie wśród zainteresowań kół inteligenckich u nas, miejsce, jakie w ich życiu towarzyskiem i koleżeńskiem coraz wyłączniej—usuwając wszelkich współzawodników—zajmuje. Z tego punktu widzenia patrząc, zwycięstwo *bridge*'a, to *signum temporis*, niewątpliwie znamienne i skłaniające do ogólniejszych, szersze znacznie dziedziny ogarniających spostrzeżeń i refleksyj. O czem bowiem świadczy to zjawisko, jakie są jego przyczyny?

*Bridge* — to przedewszystkiem wybawienie z kłopotu, deska ratunku wobec nieuchronnego niebezpieczeństwa nudy przy spędzaniu kilku godzin „w towarzystwie". Zamiast prób konwersacji, której braknie tematu, wystarczają dwie talje kart, stolik, cztery krzesła... Boć i o czem mieliby rozmawiać ludzie normalni, pochłonięci swoją specjalnością zawodową, kiedy zejdą się razem np. lekarz, prawnik, inżynier, handlowiec?... O czem nawet ludzie jednego fachu, gdy dla wypoczynku lub z konwenansu odłożą na bok mniej lub więcej praktyczne zagadnienia, wynikające z codziennych ich zajęć? Gdzież wspólny język, jednakowo dla wszystkich zrozumiały, gdzież wspólny przedmiot, w którym różnica zdań albo ich zgodność — w tym samym stopniu interesują całą czwórkę zgromadzonych, dla nikogo nie będąc czemś obojętnem, nie z jego świata? *Bridge* ustala ramy dla dyskusji, dostarcza jej wątku: „Cztery pik!", „*Contra*", „*Recontra*"...

— — — — — — — — — — — — —

W tych samych świątecznych dniach, poza rozrywkami towarzyskiemi, czytałem głośne przed kilkudziesięciu laty dzieło Burckhardt'a: „Kultura Odrodzenia we Włoszech". Cokolwiek możnaby wytknąć autorowi, stwierdzić należy, że do dziś umie budzić myśl i wyobraźnię bogactwem przedstawionych faktów i obserwacyj. Jakże odmienna była epoka, którą opisuje, od zwyczajów, pojęć, upodobań doby dzisiejszej! Weźmy jeden chociażby przykład: najkulturalniejsi przedstawiciele owych czasów, w zadziwiający sposób łączyli niejednokrotnie dzikość z wytwornością, charaktery ich (podobnie, jak obyczaj środowiska) wydają się nam splotem najbardziej nieoczekiwanych sprzeczności—pod niektóremi atoli względami psychika człowieka Renesansu nie budzi w nas najmniejszych wątpliwości, jest—w całem słowa znaczeniu—obliczalna. Taki Borgia, czy Malatesta naprzykład, mógł popełniać zbrodnie, podłości, ale jest pewne, że nie potrafiłby spędzać po kilka godzin dziennie nad partją *bridge*'a, że *bridge* nie mógłby w żadnym wypadku stać się ośrodkiem zainteresowań intelektualnych na jego dworze. Tyle rzeczy zajmowało umysły tamtych ludzi, taka obfitość zagadnień!..

Dochodzimy do sedna sprawy. Jedną z cech charakterystycznych kultury Odrodzenia stanowiło to właśnie, iż w znacznej mierze tworzyli ją dyletanci, ludzie wszystkiego ciekawi, że regułą, ideałem była dla nich wszechstronność; i ten sens także można nadać słowom: „...*nihil alienum a me puto*". Bywali, oczywiście, dyletanci rozmaitej bardzo miary i wartości, byli wśród nich nawet Leonardo da Vinci, Michał Anioł. A jako całość, cywilizacja włoska tamtej epoki, pomimo swoich zboczeń i skażeń, stanowi przecież jeden z najcenniejszych klejnotów, jakie złożyły ludy i pokolenia do skarbca człowieczeństwa.

Dziś wśród inteligencji naszej zatriumfowała zasada specjalizacji, w praktyce zresztą polegająca nietyle na doskonaleniu się w swojej wąskiej dziedzinie, ile raczej na ochoczem niezwykle wyrzekaniu się zainteresowań szerszych, wykraczających poza szranki własnych zatrudnień zawodowych. „Kwestje religijne niechaj obchodzą teologów, literackie — literatów, polityczne — polityków, ja, proszę państwa, mam też dosyć swoich obowiązków"... — oto najtypowsze stanowisko inteligenta, dumnego ogromnie z tej racji, że jest człowiekiem „serjo", że się „nie rozprasza". Wytwarza się społeczeństwo „speców", których nic, poza ich fachem, nie zajmuje, na nic, poza nim, nie posiadają własnego, przemyślanego poglądu i nie usiłują nawet sobie go wytworzyć. Jakże łatwo ludziom takim, zupełnie niespostrzeżenie dla nich samych, odebrać naprzykład wszelkie uprawnienia obywatelskie, wszelką możność wypowiadania się o polityce własnego państwa i jego losach. Jakże łatwo, przy pomocy propagandy i reklamy, narzucić im najbezsensowniejsze ideje i hasła, wmówić im najfałszywszą, odwróconą całkiem hierarchję zasług i wartości!

Cywilizacja niknąć może nietylko wskutek gwałtownych kataklizmów, może także niszczeć powoli, niepoznacznie, poprostu wskutek braku zainteresowania. Nie potrzeba odrazu palić cennych księgozbiorów (jak uczynili niegdyś sfanatyzowani wyznawcy Koranu w Aleksandrji)—wystarczy zaprzestać do nich zaglądać. Nie koniecznie musi się być analfabetą, żeby... nie czytać: można nie mieć tylko „czasu i ochoty"... Jeżeli filozofja, literatura i t. d.—zupełnie już nie będą zajmowały ludzi, dla których nie są fachem, państwo—z przyzwyczajenia — przez jakiś czas utrzymywać będzie zapewne odpowiednio dobraną gromadkę „zawodowców", „poświęcających się", w oderwaniu od ogólnego biegu życia swoich ziomków, zagadnieniom kultury, aż dnia któregoś — z okazji nowych oszczędności w budżecie—usunie ten nieuzasadniony zgoła wydatek, pozamyka bibljoteki i akademje, pokasuje stypendja i nagrody... Społeczeństwo nie spostrzeże nawet tej drobnej zmiany, każdy zaaferowany swoją specjalnością, ani zwróci uwagi na to, co już od tak dawna przecież przestało w rzeczywistości wchodzić w zakres poważniejszych jego myśli i zajęć...

*Bridge* — to przedewszystkiem rozrywka emerytów. Jeśli więc dziś tak szerzy się on wśród sfer inteligenckich w Polsce, dowód to niezawodny, iż warstwa ta w niemałym stopniu „zredukowała się" dobrowolnie, czy została przez zewnętrzne okoliczności „zredukowana", że znalazła się niejako na „emeryturze", odsuwająca się, czy odsunięta od zarządzania sprawami narodowej polityki i kultury, pozbawiona swojego kierowniczego doniedawna, całokształt życia i potrzeb zbiorowości ogarniającego stanowiska.

JAN REMBIELIŃSKI

# GŁOSY

O NEOFITACH ŻYDOWSKICH zamieszczamy dzisiaj bardzo interesujący szkic historyczny. Powinniśmy te fakty z historji mieć ciągle w pamięci, gdy mowa o sprawie żydowskiej, tak obecnie aktualnej. Potwierdzi każdemu te fakty doświadczenie naszych czasów, któż bowiem nie widział żydów pozornie chrzczonych. Heine utrzymywał: niech się chrzczą — woda wysycha.

Że ten ostrzegawczy głos historji jest na czasie, mamy dowody. Oto już z paru stron kraju doniesiono nam o rozmowach z wybitnymi żydami, którzy w zmianie wyznania upatrują jedyny sposób rozwiązania w Polsce sprawy żydowskiej. Według naszego głębokiego przekonania byłby to tylko podstęp. W wieku XX świadomość narodów chrześcijańskich nie da się w błąd wprowadzić.

„KWESTJA SZCZEROŚCI CZY NIESZCZEROŚCI wcale słuchaczowi się nie stawia". Nie, nie: stawia się arogancko kto inny: krytyk żydowskiego pochodzenia, zabierający głos o wagnerowskim „Parsifalu" — na łamach wielkanocnego numeru „Gazety Polskiej". Napozór rzecz o „Parsifalu" — w rzeczywistości tylko o Judeopolsce. Zyd jako komiwojażer dał się poznać oddawna; od niejakiego czasu stał się komiwojażerem kultury; ostatnio występuje coraz częściej, jako komiwojażer kultury chrześcijańskiej. Nie pozbywa się przytem wcale cech żydowskich. P. Stromenger, rozprawiający o misterjum wagnerowskiem, w swoim rodzaju nie mniej jest charakterystyczny, niż przekupień krawatów z ulicy warszawskiej, potoczyście objaśniający ich zalety. O znakach i symbolach kultury chrześcijańskiej p. Stromenger mówi nadzwyczaj łatwo. „Miłosierdzie chrześcijańskie, jako motor akcji, oczywiście dramatycznie słabszy. Pomagać musi: kadzidło, gołębica, Sakrament Wieczerzy Zakonu rycerskiego— okraszone świętym ceremonjałem." Wtajemniczony zupełnie w europejski sposób odczuwania, wie dobrze, kiedy Wagner uderzył po raz pierwszy w strunę narodową. „Dawny Wagner był dla Nietzschego promiennym bojownikiem. Już uderzenie w strunę narodową (w „Spiewakach norymberskich") było w oczach Nietzschego załamaniem się idealizmu Wagnera." Ładny wykład cudzej myśli, z którego wynikałoby, że „Nibelungi" nie są utworem narodowym. A jaka charakterystyczna pogarda dla „mieszczaństwa"! — jakby od wieków żydzi byli warstwą ziemiańsko rycerską. „Mieszczaństwo" zawsze u żyda oznacza mieszczaństwo chrześcijańskie. „Parsifal" był paktem z mieszczańskim sentymentem — referuje krytyk „Gazety" — „kokietowaniem zapomocą zapachu świętości, wygraniem idei zbawienia z całym przepychem nastrojów religijnych." „Steatralizowanie świętości, w które Wagner p r z e c i e sam nie wierzył." Zbadawszy tak tajniki serca twórcy „Parsifala", rozgrzesza: „Któżby pytał tu z partyturą w ręku o stosunek kompozytora do dogmatu, katechizmu, dziesięciorga przykazań?... Ale nie stawiamy Wagnerowi stopnia z religji, nie żądamy *pronunciamenta*. Budowla nastrojowych dogmatów wzniesiona na naiwności ludzkiej — to cały grzech Wagnera." „Najlepsze i najsłabsze z wszystkich (dojrzałych) dzieł Wagnera"— konkluduje krytyk. Cóż znaczy ten sąd tak dziwnie ostrożny? Nie pytajmy; powiedzieliśmy już, że artykuł traktuje o Judeopolse, nie o chrześcijaństwie i Wagnerze.

„Ustał wielki oman sztuki Wagnera" — informuje pod koniec p. Stromenger o nastrojach wśród żydów. Bo odwrócenie się w Europie gustów od sztuki wagnerowskiej, wśród muzyków niewątpliwe, okazało tylko, jak dalece wartości tej sztuki niezależne są od zmiany gustów. Sztuka Wagnera żyje, i nigdy „oman" jej nie był większy, niż w dobie dzisiejszej. Gdy zwietrzało w niej to co było tylko stylem i nowatorstwem, tem silniej zarazem i uwydatnia się trwała suggestywność tego, co w sztuce tej snadź odpowiada pewnym głębokim instynktom estetycznym narodów północy. Zrozumiały także odczuciu polskiemu jest poeta puszczy i dębu, północnego klimatu, obłoków i powietrza, cywilizacji, ducha rycerskiego i ideałów religijnych średniowiecznej Europy. Ale w ojczyźnie swej oddziałał z siłą, bezprzykładny chyba w historji. Jedyny może podobny wypadek, to rola muzyki Chopina w dziejach Polski porozbiorowej. Dziś, gdy duch sztuki Wagnera jest rzeczywistym inspiratorem rewolucji aryjskiej, wywalczonej przez młody ruch narodowy w Niemczech, co warta konstatacja: „ustał wielki oman sztuki Wagnera"?

Kiedy narody w entuzjazmie dążą do odnalezienia swego prawdziwego jestestwa i zorganizowania życia w posłuszeństwie głosowi narodowych instynktów, rola pośredników i informatorów żydowskich staje się coraz bardziej — zbędna, coraz bardziej irytująca.

# NAUKA I LITERATURA

## ALMANACH FOTOGRAFIKI POLSKIEJ 1934

JAKKOLWIEK wypadnie sąd przyszłego historyka polskiej fotografji o dążeniach i usiłowaniach artystycznych polskich pionierów tej sztuki aż do czasu wybuchu wojny światowej, — jedno jest już dziś pewne, że w ostatniem dziesięcioleciu dane nam jest przeżywać raz po raz wydarzenia o znaczeniu dla polskiej fotografiki historycznem. W Polsce współczesnej jeszcze raz triumfuje prawda, że nie rzemieślnik, nie zawodowiec, lecz amator-entuzjasta i artysta w jednej osobie tworzy dzieła najcenniejsze, o najtrwalszej wartości.

I tak się dzieje, że wśród ogólnego, międzydzielnicowego wyścigu na tem polu, ostatnie słowo wypowiada najczęściej Wilno. Tam praca, połączona z entuzjazmem, stworzyła znów znakomite wydawnictwa, któremu na imię „A l m a n a c h F o t o g r a f i k i P o l s k i e j 1 9 3 4". Zewnętrznie cechuje je graficzna staranność nawet najdrobniejszych szczegółów, a pozatem skromna wytworność, tak charakterystyczna dla prac, związanych ściśle z imieniem Bułhaka. Oprócz lokalnego wileńskiego, dawniej już wydanego „A l m a n a c h u F o t o g r a f i k i W i l e ń s k i e j" (1931), jest to pierwszy zbiorowy, ogólnopolski dokument tego, czego dokonaliśmy w odrodzonej ojczyźnie na polu fotografji artystycznej. „Almanach Fotografiki Polskiej" godnie staje obok takiego słupa granicznego w naszem piśmiennictwie fotograficznem, jakim jest niewątpliwie, wydana w r. 1931, Bułhakowa „F o t o g r a f i k a". Znalazł się wydawca ryzykant, Stanisław Turski, drugi po Bułhaku nieuleczalny wileński optymista i już ten jeden fakt wystarczy, aby z pobłażliwością spojrzeć na nieliczne drobne ułomności, powstałe nie z niewiedzy i braku smaku, lecz wskutek łamania się istotnych twórców książki z piętrzącemi się trudnościami wydawniczemi.

Po skróconym i niepozornym, ale jakże dumnym zarazem wstępie Bułhaka—po tym wykrzyku: „Jesteśmy! Chciejcie nas poznać"! — opisuje inż. Witold Romer swoje doświadczenia z wynalezioną przez siebie, nową techniką „izohelją". W dziale ilustracyjnym bardzo przekonywającym dla tej techniki jest jego „Portret" — duża głowa, ujęta w stylu nowej rzeczowości, odznaczająca się pełnią plastyki i wyrazu w oczach.

Kilka słusznych, choć ogólnikowych uwag o statyce i dynamice kompozycji plastycznej rzuca A. Brodowicz.

Jan Sunderland widzi w pracy artystyczno-fotograficznej cele bardzo szerokie, raczej społeczne, prowadzące do podniesienia poziomu ogólnej kultury artystycznej. Jest to moment bardzo ważny i w działalności artystyczno-fotograficznej naogół niedoceniany. Trzeba jednak zauważyć, że dobry obraz spełnia swoje kulturalne zadanie dopiero wówczas, gdy przez dobrą reprodukcję jest dostatecznie rozpowszechniony. Reprodukcji nie zastąpi dziś ani wielki Salon, ani mała wystawa — dlatego też większość dobrych prac fotograficznych, przechodzących tylko przez publiczne pokazy, nie spełnia wyznaczonej misji społecznej. Zbyt często zapominamy, że fotografja jest sztuką *„par excellence"* ilustracyjną i w tem jej zdolność— większa, niż w malarstwie— docierania do najszerszych sfer.

„Cała rzecz leży w tem, że wartościowy obraz pozostanie wartościowym, bez względu na to, jaką kamerą został sporządzony..." Oto cały sens „rewizji granic" między pojęciem „obrazu przemyślanego, a przypadkowego", między stosowaniem dawnej wielkiej kamery na klisze i współczesnej filmowej kamery minjaturowej — której to rewizji słusznie domaga się dr. Tadeusz Cyprian.

Po odrzuceniu pewnych małomówiących i poetyzujących ogólników można stwierdzić, że bardzo ciekawy temat poruszył Konrad Hoffman w swym artykule „Walka dwóch światów w fotografice". Temat ten — to „dziedziczne obciążenie fotografji przez malarstwo". Tak bowiem można określić przyczynę, dla której współczesna fotografja toczy zażartą walkę między zależnością od malarstwa i samodzielnością własnego wyrazu — między malarskością i fotograficznością tego, co tworzy. Twierdzenie jednak, że większa część talentów fotograficznych rekrutuje się z pod znaku Flaubertowskiego artysty, jest conajmniej ryzykowne. Życie wykazuje bowiem, że nie każdy, kto się zawiódł na malarstwie, albo w poszukiwaniu własnego stylu jest twórczym impotentem — nie każdy taki musi znaleźć siebie w fotografji. Wręcz przeciwnie — nierzadkie są wypadki, że brak zdecydowania i stylu mści się również i w fotografice.

Szczegółowe omawianie ilustracyj wykracza poza szczupłe ramy sprawozdania. Materjał jest tak różnorodny, tak bogaty i tak nienagannie technicznie oddany w druku, że najlepiej zobaczyć to i rozkoszować się. A przy sposobności możemy też być dumni z polskiej techniki reprodukcyjnej, która w „Almanachu" stanęła na wysokości zadania.

Zakopane ANTONI WIECZOREK

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Pani Marja Kasprowiczowa zamknęła swój „Dziennik", poświęcony czasom, przeżytym u boku wielkiego poety, autora „Marchołta", trzecim tomem, wydanym w Domu Książki Polskiej. Nosi on tytuł „Harenda" — nazwa domu opuszczonego przez poetę. Autorka opisuje swoje przeżycia i rozmyślania po śmierci męża; duch jego żyje w tym ukochanym przez niego domu góralskim nad Dunajcem. Kończy się dziennik obrazem powrotu gospodarza — do grobowca, wybudowanego obok domu nad rzeką, powrotu po 7 latach spoczywania zwłok na cmentarzu zakopiańskim.

Wybitna indywidualność autorki, obdarzonej niepospolitym talentem pisarskim, sprawia, że wszystkie jej notatki z dnia na dzień robione, układają się w całość, jakby ona była planowo skonstruowana. Wiąże w całość ten materjał osobistość, głęboko przeżywająca wrażenia i jasno zdająca sobie z nich sprawę. Są tam, we wspomnieniach zawarte bardzo cenne przyczynki do życia męża i komentarze do dzieł, zwłaszcza do „Marchołta", którego autorka wymownie zaleca do wystawienia na scenie. Nie brak też sylwetek ubocznych. Doskonała jest charakterystyka poety rosyjskiego Balmonta, który bawił w tym czasie parę tygodni na Harendzie z żoną. Kilku linjami nakreślona jego sylweta, znakomicie chwyta typ rosyjski żywiołu poetyckiego w niezorganizowanym człowieku. Własna jego żona, gdy podziwiano szczególny typ człowieka, orzekła: „To nie jest człowiek — to istność (*suszczestwo*)". Istotnie ten żywioł potrafi np. w zapamiętaniu poetyckiem wyjść z balkonu za poręcz, przyczem łamie nogi. Autorka, obserwując go, pewno miała na myśli Jana Kasprowicza, który mógł na miarę życiową uchodzić za dziecko, wszakże w stosunku do siebie i do ludzi był człowiekiem władnym.

Głównym wątkiem książki są dzieje domu, jak go poeta z żoną budowali i dzieje grobu. Dwa domy, jeden był poezją życia, drugi poezją śmierci, odczutej głęboko przez społeczeństwo. Ten drugi może zbyt powoli naród budował, ale byłoby niesprawiedliwością robić ogółowi z tego zarzut. Należy do rzadkich w Polsce zjawisk kult poety tak bezpośredni, jaki otoczył Kasprowicza za życia i nie opuszczał go w mogile. Będzie zawsze tajemnicą życia narodowego, skąd ogół, mało sztuce oddany, dochodzi do odczucia wielkości twórców.

Okoliczności widać sprawiły, że w dzienniku Kasprowiczowej pod koniec dużo przestrzenie czasu są niezapisane. Na jej dobro literackie zaliczyć należy dyskrecję w traktowaniu spraw osobistych, co pozwoliło jej utrzymać dziennik na wyżynach, odpowiadających poziomowi, na którym podążały ku wieczności duch poety i to wszystko, co było marzeniem w pożyciu małżonków.

W sumie ogólnej „Dziennik" Kasprowiczowej, zawarty w wydanych trzech tomach, — przyznać trzeba — stanowi piękną pozycję w naszej literaturze. Brak przykładu analogicznego, aby wskazać można było podobny pomnik, postawiony artyście przez kobietę na fundamencie uczuć czysto osobistych. (W.)

*

Ukazała się nowa książka Zygmunta Nowakowskiego, „Dzwonek niedzielny" (nakład Gebethnera i Wolffa). Znalazły się tutaj fejletony z ostatnich czasów, które największe wywołały poruszenie. Więc feljeton o Akademji Literatury, „Grób nieznanego poety", arcyzabawny i okrutny dla współczesnej scholastyki naukowej feljeton o gramatykach p. t. „Odżywotniająca nauka"; „Księga z San Michele" pisana z powodu procesu Maliszów, która głęboko poruszyła opinję publiczną; „Dożynki Krakowskie" o zwijaniu katedr; „Biało-czerwony sztandar" o poezjach rocznicowych; „Solski. Solski", świetnie nakreślona sylweta wielkiego artysty.

*

Jakoś przyszła znów moda na przysłowia. Po obszernej, omówionej tu już monografji J. St. Bystronia „Przysłowia Polskie" (Pol. Ak. Umiejętności) ukazał się zbiorek „przysłowi i pogwarek polskich", opracowany dla młodzieży i dorosłych przez znaną pisarkę popularną Janinę Porazińską, a noszący tytuł „Kto śpiewa, troski rozwiewa" (Lwów, K. S. Jakubowski). Tytuł jest przysłowiem, ale nie zupełnie jest trafny w zastosowaniu do zbioru przysłowi. Jak bowiem „śpiewać" — zwłaszcza w obliczu panoszenia się komorników i egzekutorów — takie przysłowie: „Uciekaj, goły, bo obedrą!" Albo takie: „U literata pusta chata". Trzebaby śpiewać bardzo cienko, a to trosk nie „rozwiewa".

Za źródło swego zbiorku p. Porazińska wzięła Adalberga, którego uważa za „pierwszego" zbieracza przysłowi polskich. Pogląd to błędny, równie jak powszechnie dziś przez „Wiadomości literackie" kolportowana wiadomość, że od Witlina i Tuwima „zaczyna się" nowa poezja w Polsce (czyta się o tem wciąż w prasie zagranicznej, zwłaszcza niemieckiej, elukubracje różnych szajgeców żydowskich). Wszak już na dwa wieki zgórą przed Adalbergiem dali takie zbiory Knapjusz, Rysiński i Fredro, a w XIX w. Lompa, Cinciała i Cynowa.

Nawołuje p. Porazińska czytelników, by nadsyłali przysłowia, zbiorkiem tym nieobjęte. Pora do nawoływania jest stosowna, gdyż w ciągu ostatnich lat 10 dużo powstało przysłowi, krążących zwłaszcza po Warszawie. Oto jedno z niedawnych: „Nikt nie czyta nigdy Mateusza Bigdy". Przytoczylibyśmy jeszcze z kopę przysłowi aktualnych, ale pewnoby je skonfiskowano w druku. (J)

*

Inż. Henryk Mianowski ogłosił „Znaczenie gospodarcze ruchu turystyczno-uzdrowiskowego w Polsce. Rozważania na czasie". (Nakład Izby Przemysłowo-Handlowej w Krakowie). Autor, dyrektor Izby, zadał sobie żmudny trud statystycznego zestawienia ruchu turystycznego z poza granic

Polski i ruchu wewnętrznego, turystycznego i uzdrowiskowego, przyczem interesująco przedstawił znaczenie tego ruchu. Maksyma: „cudze chwalicie, swego nie znacie“ znalazła pełny wyraz w rozdziałach tej pożytecznej książki: „Pojęcie turystyki“, „Wartość uzdrojowisk polskich i ich rola w gospodarce narodowej“, „Frontem ku turystyce wewnętrznej“, „Potrzeby naszego przemysłu turystyczno-uzdrowiskowego“, i „Tabele frekwencji“. Doniosłość tego ruchu dla bilansu płatniczego państwa motywuje autor cytatami z obcej, specjalnej literatury, z tem, że u nas możność rozwoju utrudniają: zły stan dróg, niefortunna polityka kolejowa i drogowa, i niski poziom prowincjonalnego hotelarstwa. Na dowód, jak wydajny może być nakład finansowy w tych dziedzinach, są stosunki we Francji, gdzie przemysł turystyczny daje utrzymanie więcej niż 50,000 pracowników, dostarcza rocznie ponad 500 miljonów franków przedsiębiorstwom turystycznym, i około miljarda podatków bezpośrednich, opłat i taks kasom państwowym. Porusza obroty handlowe, przemysł ludowy i podwyższa wartość użytkową i wymienną majątku narodowego. Inż. Mianowski podaje szereg trafnych, popartych cyframi, uwag i rad, szczegółowy przegląd dokonanych w uzdrojowiskach urządzeń, z zachętą do czynienia inwestycyj i ułatwień, co dodatnio oddziała na wzmożenie ruchu w okolicach naszej cudnej przyrody. (A. W.)

*

„Krzyk mody“ szczególnie dziś stał się natrętny, krzykliwy i pełny tupetu, gdy zawładnęły literaturą różne „czynniki“, które ongi jedynie krzykiem zdobywały Jerycho. Rzadko znajdzie się pisarz, któryby miał odwagę przyznać się, że jego dzieło jest niemodne. Do takich należy Hiszpan, Armando Palacio Valdès, którego powieść *„Santa Rogelia“* ukazała się w przekładzie Anny Szotowej (nakładem Księg. św. Wojciecha) pod zmienionym nieco tytułem „Grzesznica—święta“. Powieść to współczesna, jednakże autor, uważając jej treść za pokrewną średniowieczu, sam dał jej podtytuł: „Z legendy złotej“. Tytułowa bohaterka jest piękną Austryjką, której wdzięki i zalety podbijają serca mężczyzn całej okolicy. Wiele o nią toczy się zwad i bójek wśród gorącej hiszpańskiej młodzi. Okoliczności tak się składają, że mężem jej zostaje wkońcu zawadjacki, brutalny Max, którego ona uszlachetnia swoim wpływem; przez czas pewien w charakterze jej męża przeważają dobre pierwiastki, z czasem jednak znów bierze górę wrodzona mu złośliwość. Gdy Max raniony leczy się w domu, między doglądającym go lekarzem Vilchesem i Rogelją zawiązuje się nić sympatji; wskutek wynikłych z tego powodu podejrzeń Max rani ciężko doktora, za co (oraz za inne sprawki) zostaje skazany na galery i więzienie. Rogelja pozostawiona w samotności, daje się uwieść osobistemu czarowi Vilchesa i wyjeżdża z nim do Paryża. W pewnym momencie, pod wpływem znajomości i przyjaźni ze świątobliwą Krystyną, niedoszłą karmelitanką, przeobraża się Rogelja całkowicie, porzuca cudzołożny związek z Vilchesem i w imię obowiązku wraca do swego męża, który ją lży i katuje. Znów tysiące upokorzeń, odrzuca ofiarowaną jej przez Vilchesa pomoc, a gdy mąż jej ginie w straszliwy sposób, ona całuje jego ropiejące rany... Kończy się powieść cała trochę po filistersku, *happy end*'em: Rogelja wraca do Vilchesa, zostaje jego żoną, żyją długo i szczęśliwie. Ale ostatecznie nic w tem nieprawdopodobnego. Nieprawdopodobieństw kilku — pozornych z pewnością — dopatrzeć się można raczej w pewnych poprzednich szczegółach. Ale one też przyczyniają się do tego, że powieść jest zajmująca. (J. B.)

*

Książką nader interesującą jest przeznaczona dla młodzieży powieść p. Cybulskie-Roguskiej p. t. „Tajemnica Tatr“ (Ks. św. Wojciecha, Poznań). Należy ta powieść do typu, jaki znalazł u nas ostatniemi czasy dość wielkie rozpowszechnienie (Szczuckiej „Topsy i Lupus“, Łosia „Strażnica“ i t. d.). Bohaterami jej są dwaj chłopcy, którzy nie lękając się trudów i znojów, postanawiają zbadać tajemnicę, dręczącą przez czas dłuższy ich samych oraz drogie im osoby. Tajemnicą tą jest niewyjaśnione zniknięcie ojca jednego z chłopców, a zawodowego taternika, p. Wrażewskiego. Autorka umie zaciekawić, zaintrygować czytelnika tą tajemnicą, a także opisem różnych przygód, jakich doznają kolejno obaj chłopcy. Pomysłem oryginalnym jest wprowadzenie postaci karła — niemowy, jedynej osoby, która widziała śmierć Wrażewskiego—ale nie może wydać tajemnicy. Wyjaśnia się ona dopiero dzięki interwencji księdza, spowiednika, który jeden tylko umie dogadać się z niemową. Sama scena spowiedzi, choć to motyw w powieści nienowy (owszem, u romantyków wprost zużyty), nadspodziewanie tchnie wielką świeżością. Z interesującą fabułą złączyła autorka i myśl dydaktyczną, którą da się streścić w zasadzie: „Kochaj góry, podziwiaj ich piękno, zdobywaj szczyty, ale bez potrzeby nie wystawiaj na szwank życia“. Książkę zdobił malarz góral, Gąsienica Szostak, który nas niedawno radował swemi barwnemi i pomysłowemi malowidłami na szkle; ilustracje jego mają wiele uroku, ale pewno byłyby bardziej „w swoim sosie“, gdyby były kolorowe. (J. B.)

# MUZYKA

POTRZEBA istnienia pisma, poświęconego muzyce, odczuć się dawała oddawna. Nie wystarcza nam bowiem „Muzyka“, podejmująca w ostatnich czasach z wyraźnem zdenerwowaniem dyskusję na temat rasizmu, duchem najbliższa „Międzynarodowemu Towarzystwu Muzyki Współczesnej“ *(International Society for Contemporary Music)*, tej, jak to pisał jej entuzjasta Adolf Weissman, „muzycznej Ligi Narodów“, podkreślającej różne swoje „widome znaki internacjonalizmu“. Nie wypełniał tej luki i doskonale redagowany „Kwartalnik Muzyczny“, pismo o charakterze naukowym. A przecież „... jednak polskie życie muzyczne wysuwa wiele poważnych zagadnień i kwestyj, które wymagają publicznego ujawnienia i omówienia“ pisze w słowie od redakcji kwartalnik „Muzyka Polska“, redagowany przez Adolfa Chybińskiego, Kazimierza Sikorskiego i Teodora Zalewskiego.

Zaznaczamy odrazu, że wydanie go w miejsce dawnego perjodyku, poświęconego muzykologji, nie pozostawi jednak tej gałęzi nauki bez swego organu. Będzie nim bowiem „Polski Rocznik Muzykologiczny“, którego pierwszy tom ukaże się jeszcze w roku bieżącym.

Już pierwszy zeszyt „Muzyki Polskiej“ wystawia sobie świadectwo wysokim poziomem i powagą poruszanych spraw. Nie jest to pismo o podkładzie jakiejś spekulacji, przeciwnie; „...obrana nazwa najlepiej świadczy, w jakim kierunku biegną zamierzenia nowego pisma i co ma być przedmiotem jego zainteresowań“.

Ukazanie się pierwszego numeru zbiegło się z rocznicą śmierci Mieczysława Karłowicza, jemu też redakcja poświęciła artykuły pióra prof. dr. Adolfa Chybińskiego, dr. Henryka Opieńskiego i Apolinarego Szeluto. Jest to jedna z poważniejszych pozycyj w literaturze, związanej z życiem i twórczością zmarłego przedwcześnie kompozytora.

Długi szereg artykułów Maklakiewicza, Szeligowskiego, Olchy, Zalewskiego, (zapewniamy, że *votum separatum* w sprawie takiego dziwolągu, jakim jest „towarzystwo Opery Narodowej“, nie jest głosem odosobnionym), porusza całą dosłownie masę zagadnień i refleksyj na tematy naszego życia muzycznego. I w nich to przejawiła się cała potrzeba wydawania pisma. Szczupłość miejsca nie pozwala nam dzisiaj na podjęcie dyskusji — możemy jedynie zaofiarować szczerą współpracę. Dlatego też do kwestyj poruszonych niejednokrotnie powrócimy.

Ktoś postawić może zarzut, że zostały one poruszone zbytnio ze strony negatywnej — nie zaprzeczamy temu, lecz ze swej strony musimy dodać, że zrozumiały jest taki charakter pierwszych artykułów; wykazując owe błędy, niedociągnięcia i braki, zakreślają one tem samem cały teren pracy, która czeka. Nie wątpimy, że już w najbliższych numerach strona pozytywna zagadnień wysunie się na naczelne miejsce.

Sprawą, na którą jednak już dzisiaj zwrócimy uwagę, jest brak inicjatywy w świecie muzycznym. Jeśli bowiem ona istnieje, to rozwija się w ściśle określonych ramach. A nad temi ramami trzeba się poważnie zastanowić; służą one przeważnie za oprawę różnym kołom i instytucjom, które w swoich poglądach i przejawach pracy bliskie są owej jakiejś konserwatywnej rutynie, dalekiej od należycie pojętego tradycjonalizmu.

Źródłem tego jest brak linji ideowej, odczuwany i przez muzykę wraz ze wszystkiemi dziedzinami sztuki. Sprawa najważniejsza i najpilniejsza, taka, którą się określa, jako „palącą“, a jednocześnie bardzo nudna. Ideologji się nie stwarza na poczekaniu i na jedną chwilę, a co ważniejsza, ideologji, jeśli nawet istnieje, nie przyjmuje się łatwo. Przeszkadzają temu stare nawyczki myślowe, a może w wyższym jeszcze stopniu, brak odwagi i konsekwencji.

Do tych kwestyj powrócimy jeszcze.

Szczególną uwagę zwracamy na dział sprawozdań z współczesnej twórczości polskiej, natomiast inny, poświęcony ruchowi muzycznemu w Polsce, zawiera braki, które należy położyć na karb pierwszego numeru, niema np. omówienia takich środowisk jak Warszawa, Poznań, Kraków, Lublin.

Zarówno sama inicjatywa Towarzystwa Wydawniczego Muzyki Polskiej, którego pismo jest organem, jak i pierwszy numer, powinny znaleźć oddźwięk daleki od jedynie konwencjonalnych słów uznania.

W. NARUSZ

# FILM

ŚWIATOWID: „Kocha... lubi... szanuje", reż. M. Waszyński. Zacznijmy od scenarjusza. Pewien młody aptekarz, z prowincji, kocha się w kasjerce tej samej instytucji. Młodzi nie mogą się pobrać (kryzys), on jest przytem trochę fajtłapa. Kasjerka marzy o teatrze. Chce zostać tancerką. Pewnego pięknego poranku, z powodu ogólnej pacyfikacji Europy, kryzys się kończy i tu dopiero zaczyna się cała historja. Kasjerka nie chce już aptekarza i zostaje tancerką. Młody prowizor farmacji nie chce apteki i zostaje właścicielem teatrzyku (akcje znowu poszły w górę). Ukochana zgłasza się do tego teatru (nie wie o niczem), angażują ją, a dyrektor-aptekarz wynajmuje klakę do gwizdania, żeby lubą skompromitować. W ten sposób — kalkuluje sobie — zniechęcona do sceny, wróci z powrotem w jego ramiona. Ona, przypadkiem, poznaje jego intencje i od tej chwili młodzi, choć się kochają, poczynają sobie robić na złość. Bardzo w tem jest pomocny jeden młody bubek, oczywiście hrabia, który włazi za kulisy i emabluje tancerkę. I tak dalej, tak dalej... a kończy się, wiadomo jak—*happy-end*'em.

Ale właściwie to był sen; tak się prowizorowi śniło, gdy się zdrzemnął, przy kręceniu pigułek.

Jedną z wad naszych filmów są słabe scenarjusze. Z tego dałaby się zmajstrować wcale zgrabna komedyjka. Wiadomo jednak, że najzabawniejsza anegdota stanie się nieznośną „piłą", gdy częstujący nią źle opowiada. A film opowiada reżyser, zapomocą zmontowanych przez siebie obrazów. Ciekawe zazębienia sytuacji o sytuację, akcję znaczoną wartko w scenarjuszu, może nieumiejętny reżyser, w źle komponowanych i dozowanych obrazach, zamazać, zagubić. Motyw z motywu musi w dobrze skomponowanym filmie wyrastać, plastyką swą znacząc i wiążąc ciągłość opowieści. Tu tego niema.

Znowu nadużycie aktora i jego gry, maskowanie nią braków własnej inwencji. Pomysłów-dowcipów istotnie kinowych (przez zestawienie) — na lekarstwo. Aktorzy zadużo gadają, a przytem teksty opracowane słabo. Dużo wzorowania się na filmach obcych, francuskich, np. w scenach pokazywania kulis teatru, ale bez żadnego zrozumienia. Jako efekty „artystyczne" użyte, pomysły montażu słowno-wizualnego dowodzą jeszcze raz, że film robił człowiek obeznany z techniką, lecz bez wyczucia artystycznego. Analiza chwytów tego rodzaju montażu, stosowanego przez wybitniejszych filmowców, prowadzi do wykrycia pewnej zasady, według której były konstruowane. A ta skolei daje receptę. Otóż w wielu pomysłach montażowych Waszyńskiego zbyt wyraźnie wyczuwało się operowanie receptą. Zresztą szycie nićmi ładnego montażu kiepskich kawałków nie ma wielkiego sensu.

We wszystkich momentach, gdy film ocierał się o możliwości zrobienia wypadu w dziedzinę prawdziwej sztuki, nie wyzyskano tego.

Obserwator zamało ruchliwy, zdjęcia dobre. Niektórzy z grających szarżowali; umiar zachował Znicz, Walter był naturalny i swobodny, jak zawsze, Ruszkowski miły, choć trochę niewyraźny. Taniec Lody Halamy b. fotogeniczny, natomiast gra robi wrażenie wyuczonej lekcji. Bodo byłby zapewne ciekawszy w rolach charakterystycznych. Niepotrzebnie robią z niego amanta.

KANDYD

# ZMARLI

## Ś P. HENRYK BIEGELEISEN

WE LWOWIE zmarł długoletni i zasłużony pracownik na niwie historji literatury polskiej i etnografji, dr. Henryk Biegeleisen. Zmarł w sędziwym wieku, w 78 roku życia. Urodzony we Lwowie, tutaj też się kształcił i całe życie pracował. W literaturze dał się poznać w r. 1884, jako pierwszy monografista „Pana Tadeusza".

Motywy twórczości ludowej zajmowały go od wczesnej młodości. Badał naprzód umysłowość ludu na tle jego pojęć społecznych. Studja swoje w tym zakresie ogłaszał w warszawskim „Głosie" koło r. 1890 („Szlachta w pieśni ludowej", „Mieszczaństwo" i in.). Stąd przeszedł do studjów porównawczych folklorystystycznych i te drukował w „Wiśle". Do najpierwszych należało obszerne zestawienie wątków z „Balladyny" z pierwiastkami legendowemi innych narodów. Akademja Umiejętności, której był członkiem korespondentem, wydała jego studja etnologiczne: „Matka i dziecko", „Wesele", „U kolebki, przed ołtarzem, nad mogiłą", „Lecznictwo ludu polskiego", „Śmierć".

Z dziedziny literatury wydał przed rokiem pracę „Żona poety" (Lenartowicza), pracował ostatnio nad monografją Kornela Ujejskiego. Ogłaszał wiele drobnych prac w dziennikach, w latach 1899—1902 należał do redakcji „Słowa Polskiego". Otaczał go szacunek jako człowieka prawego.

# NOWE KSIĄŻKI

Mieczysław Karłowicz. W dwudziestą piątą rocznicę śmierci. Poznań 1934. J. Kuglin. Skład główny w księg. Górsklego i Tetzlawa w Poznaniu, s. 47 z 3 ilustr.

André Lucjan. Toast weselny (Poemat). Warsz. 1934, Dom ks. Pol.

Kwartalnik Podagogiczny. 1934, nr. 1.

Stojanowski Karol dr. Rasizm przeciw Słowiańszszczyźnie. Poznań 1934. „Głos". Nr. 156.

Wrzos Konrad. Kiedy znowu wojna? Warsz. 1934. Gebethner i Wolff.

Gundulić Ivan. Osman. Poemat historyczny o wojnie Chocimskiej z r. 1621 w 20 pieśniach. Przekład Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego. Warsz. (1934), Dom Książki Pol. str. 477.

Fromer Manes. Konieczność światowego rozwiązanie kwestji żydowskiej. Krzyk rozpaczy młodego żydostwa. Warsz. 1934. Wyd. Nowoczesne s. 60.

Lewin Leopold. Sen zimowy (poezja) Warsz. 1934. F. Hoesick.

Kęcki Feliks. Mieczysław Karłowicz. Szkic monograficzny. Warsz. 1934 Nakład i własność Warsz. Tow. Muzycznego. S. 90 z 7 ilustr.

Braun Jerzy. Epitaphium (Poezje). Warsz. 1934. Bibl. „Zet".

Zabawski Władysław. Droga do Ziemi obiecanej. Ruch narodowy na Śląsku Cieszyńskim. Cieszyn 1934. Księg. Nowe Kresy. Str. 328 (z ilustr.).

Hausnerówna Stanisława. Twierdza Ducha. Powieść. Lwów 1933. Druk. Urzędnicza.

Lewin Izak. Prawo rozwiązywania ciał prawodawczych. Studjum z prawa konstytucyjnego. Lwów 1933. „Oświata". Str. 87.

Jaglarz Jerzy. Problem kodyfikacji prawa małżeńskiego w Polsce 1934. Str. 178.

Tydzień o Pomorzu. Praca zbiorowa pod red. L. Zagrockiego Poznań 433, str. 180.

Łoza Stanisław. Rodziny polskie pochodzenia cudzoziemskiego, osiadłe w Warszawie. Cz. II. Warsz. 1934. Galewski i Dau. Str. 107.

X Y. Z. Człowiek o trzech obliczach. Warsz. 1933. Skład główny Księgarnia Wojskowa. Str, 72.

Krzysztof Celestyn Mrogonwjusz. 1764 — 1855 Księga pamiątkowa pod redakcją dr. Wład. Pniewskiego. Gdańsk 1933. Tow. przyj. nauki i sztuki. Str. 379.

Rocznik Gdański. Organ Stow. przyjaciół nauki i sztuki. Tom VI (1932). Gdańsk. Str. 504.

Wałęga Stanisław. Dzieje polityczne Torunia u schyłku Rzplitej (1724 — 1793). Z słowem wstępnem Wł. Konopczyńskiego. Tom I. Toruń 1933. Tow. Naukowe. (Rocz. Tow. t. 39). Str. 392.

Zapiski Tow. Naukowego w Toruniu. Tom IX. zesz. 7 — 8 (Ogólnego zbioru t. 100). Zeszyt jubileuszowy, poświęcony 700-leciu Torunia. (Toruń Tow. Nauk.)

Pamiętnik Literacki. Lwów. Rocznik XXX, zesz. III — IV.

Sieroszewski Wacław. Marszałek Józef Piłsudski. Życiorys. Warsz. 1934. Dom Książki Pol. Str. 64.

Zieliński Stanisław. Mały słownik pionierów polskich, kolonjalnych i morskich. Warsz. 1933. Instytut wyd. Ligi morskiej i kolonjalnej. Str. 682.

Ziemnowicz Mieczysław dr. Szkolnictwo w Stanach Zjednoczonych Am. Półn. Warsz. 1934. Książnica Atlas. Str. 400.

Ziemnowicz Mieczysław dr. Nauczanie i wychowanie w Stanach Zjedn. A. P. Warsz. 1934. Książnica Atlas. Str. 142.

Hessen Sergjusz i Haus Mikołaj. Pedagogika i szkolnictwo w Rosji Sowieckiej. Przekład A. Zieleńczyka. Warsz. 1934. Str. 308.

# OFENSYWA

## ULICA BAUDOINA

W TYCH samych dniach, w których nad Sekwaną nastąpił wybuch wulkanu błota i kału, aby już przez trzy miesiące bez przerwy zalewać przeznaczone na zagładę Herculanum i Pompei, tygodniki obrazkowe pełne były reprodukcyj z tańców paryskiej Fryne...

Młoda dziewczyna, studentka, świetnie zbudowana, a tancerka zdolna, podobno aby zyskać fundusze na dalsze kształcenie, zdecydowała się tańczyć nago w zamkniętych *cercles*, na większych lub mniejszych recepcjach. I odrazu stała się modną. Wzięły ją pod protekcję swoją bankierzyce i *„clerki“* paryskie, to jest inteligentna, amoralna szumowina, zgangrenowana do szpiku kości, zasługująca w sumie na jakieś 300 szafotów. Odbywały się tedy takie wieczory w zamkniętem kółku wybrańców, na których nowoczesna Fryne golutenka, bez listeczka, popisywała się przed ubrylantowanemi i uperlonemi żonami ministrów i dygnitarzy kończącej się III-ciej Republiki..

Taką jest nowoczesność w dzisiejszej... Aleksandrji.

To też na tle tego Paryża, stoczonego doszczętnie przez streptokoki ze Wschodu, Paryża, w porównaniu z którym Paryż Burbonów czy Paryż Napoleona III-ciego wydaje się sielankowo patriarchalną parafją wielkich przymiotów a małych występków, na tle tego Herculanum i Pompeij postać księdza Bethléem wyrasta istotnie do rozmiarów biblijnych proroków wobec Niniwy, wobec Baltazara, wobec orgji kultu Złotego Cielca.

Znów ma dużo do czynienia ksiądz Bethléem, chodząc teraz po swoim Paryżu. W kjoskach te same stosy i sterty pornografji, jakie bywały tu zawsze i jakich śladu już niema w Rzymie, ni w Berlinie, ni w Wiedniu, ani w Moskwie, ani w Petersburgu, ani w Londynie. A w tychże kioskach tu i ówdzie i owa naga Colette Andris na obrazku, jak tańczy przed... intelektualną elitą Paryża. I równocześnie moc wydawnictw i zeszytów, związanych z erą demona Stawiskiego. Kochanka jego pomocnika, Lucette Almeras, wydała szybko napisany przez specjalistów jej pamiętnik *„C'est que je sais“*, 250 stron i ze wstępem adwokata. Jego przyjaciel literacki, *romancier* Kessel wydał nakładem *„Nouvelle Revue Française“* także pamiętnik p. t. „Stawiski, jakim go znałem“... I tu i tam najwyższe superlatywy i pochwały dla kolosalnego parszywca, który pchnął „gościnną“ Francję z Tarpejskiej skały. Będzie co palić na stosach na placu Concorde za kilka miesięcy, kiedy bandy Briandytów i Boncourów staną wreszcie pod ścianami płaczu i zgrzytania zębów.

Tymczasem jeszcze demonstrować musi niezmożony *l'abbé* Bethléem. Więc znów co kilka dni chodzi od kiosku do kiosku, bierze garść *cochonneries* i belmontaży i drze na strzępy. Tłum się zbiera, krzyki, kpiny, szyderstwa masońskiej kanalji, policja, protokół, „zaburzenie porządku publicznego“, rozprawy w sądzie, skazania, apelacje i kary ostentacyjnie coraz mniejsze; dawniej bywały po 10.000 teraz po.. 200 franków. Coprawda kardynał Verdier, dyplomata i przyjaciel nieboszczyka Arystydesarmementa, i dziś jeszcze, zapytywany przez któregoś ze śmieciarskich rynkowych znakomitości literackich co o działalności księdza Bethléem sądzi, odpowiedział:

*„...L'abbé Bethléem écrit sous sa seule responsabilité...“.*

Chodziło o pierwszy artykuł księdza w *„La Revue des Livres“*, w którym, omawiając dziś jeszcze modną literaturę Gide'ów, Margueritte'ów, Celine'ów, Braibantów, Malvaux, Duvernois, Kesselów i t. p. potraktował ją tak jak,.. Massis, a więc jako przemysł, handel i *commercium*, pisząc o tem pono nieco po Pirożyńsku, a więc prosto, twardo, niezgrabnie, ale słusznie i rzetelnie. Adwokaty żydusy poradziły wtedy poszkodowanym skrybom wytoczenie zaraz procesu awanturującemu się księdzu, że to niby on może zaszkodzić skrybom w rozprzedaży ich genjalnego *guano*. I do rozprawy przyszło. *„Syndicat des Romancies“* skarżył Savonarolę dzisiejszego Paryża, stosunek zaś skarżących do oskarżonego był taki sam, jak w ostatniej powieści Martin du Garde (*„Vieille France“*), stosunek zeprzałych, zmaterjalizowanych, bezreligijnych, spoganionych, na pieniądze tylko zachłannych chłopów ze wsi Maupeyron, do biednego, wychudłego, wynędzniałego proboszcza Vernego, który 35 lat z rzędu chce z tej swej trzodki wykrzesać jakieś iskry Boże.

Paryski „ksiądz Verne“ zarzucił modnym i „rozrywanym“ ramociarzom przedewszystkiem pornografję. Na rozprawie jeden z mecenasów, René Idźkowska (*sic*), chcąc go dobić odczytała cały jeden ustęp ze... słynnej powieści arcykatolickiego Mauriaca...

Księdza skazali. Nie na dużo, ale skazali. Tylko na grzywnę. Kilka lat temu jeszcze skazywali go na więzienie. I *abbé* Bethléem siadywał. W każdym więc razie jest już lepiej, już jest postęp... Nie traćmy nadziei, że kiedyś stanie w tym Paryżu na placu Bethléema piękny pomnik żarliwego „manjaka“.

U nas, to znaczy w mieście, w którym kiedyś działał... ksiądz Boudoin, takiego księdza niema dotychczas. To też całkiem bezkarnie i bezczelnie rządowe *Grossternexpressy* (Wielka Gwiazda Dawidowa) drukują sobie opowiastkę więdnącej, a nieukojonej Herodjady, a panieneczki Poleczki czytają dzień po dzień specjały, bywa że i o Kolumbowych jajach i t. p.

*Cui bono? Cui bono?*

ADOLF NOWACZYŃSKI

# NA MARGINESIE

Osobliwe jest położenie społeczeństwa chrześcijańskiego, gdy organ zbliżony do rządu, a zwłaszcza do ministra wyznań, ogłasza na Wielkanoc artykuł wstępny, zaczynający się od słów:

„Ukrzyżowany i ciszy grobowej wydany Człowiek, zmartwychwstał jako Bóg. Ten czarujący, pełen polotu poetyckiego Mit zachwyca nas głębią koncepcji filozoficznej, lecz jest nam szczególnie blizki, jako Polakom. I może nigdzie w tym stopniu, co u nas i w naszem pokoleniu nie budzi on równie głębokich refleksyj“.

Snuje taką analogję w „Kurjerze Porannym“ (na użytek mitów bieżących) p. Stpiczyński, dając temu wypracowaniu sensacyjny tytuł: „Co za wstrząsająca tajemnica!“

Bezpośrednio potem akademik Rzymowski w artykule „Ewangelja wiosny“, mówi o tej tajemnicy, jako o „prastarym micie zmartwychwstania w symbolu wiosny“. Żaden z tych pisarzy nie wymieni imienia Chrystusa, ani słowa „Krzyż“. Bo cóżby na to powiedzieli żydzi! Dziennik, drukowany po polsku, ale te same artykuły mogłyby się znaleźć w pismach żydowskich.

Tak wygląda teraz Warszawa.

*

Są w Polsce liczne dzienniki, które codzień wymieniają nazwisko „Stawiski“ w brzmieniu polskiem, ale ani razu nie poinformowały czytelników, że ten zbrodniarz jest żydem.

Czemu tak? — zapytamy naiwnie.

*

W syjonistycznym „Naszym Przeglądzie“ czytamy:

„Wobec namiętnej dyskusji, jaka się wywiązała w związku z wystawieniem Shylocka w teatrze Polskim, Związek Literatów i Dziennikarzy Żyd. w Warszawie urządza w sali Rady Miejskiej wielki sąd publiczny nad Shylokiem. Problem ten nabrał szczególnej aktualności wobec wzrostu antysemityzmu w ostatnich czasach...

Skład Sądu jest następujący:—Przewodnictwo i słowo wstępne: Adw. Nojach Prylucki. 1-szy oskarżyciel Józef Heftman, 2-gi oskarżyciel: Elchonon Cejtlin, 1-szy obrońca: Leo Finkielstein, 2-gi obrońca: Aron Cejtlin. Jako eksperci oskarżenia i obrony wystąpią: — Red. Jakób Apenszlak, Red. Saul Wagman, Dr. A. Gliksman, Dr. I. Kruk, Andrzej Marek, St. Pomer, J. M. Najman, Dr. Michał Weichert oraz znakomity krytyk, członek Akademji Literatury Polskiej, Karol Irzykowski.

Bilety od gr. 60 już do nabycia w Związku Literatów (Tłomackie 13) i w księgarni „Gitlina“ (Kramy Nalewkowskie)“.

„Znakomity krytyk“, Karol Irzykowski,—Kramy nalewkowskie... — wszystko miesza się... Jakże blisko jest od tej Akademji do... Nalewek!..

*

Z „Głosu Narodu“ wycinamy do tej rubryki ciekawą notatkę p. t. „Nowa religja w Polsce“: „I. K. C.“ donosi, że p. dr. Dziadosz poprowadził w dn. 18 z. m. pochód imieninowy pod Belweder w Warszawie i przed oknami pałacu m. in. powiedział:

„Stajemy wobec nauczyciela, który, niestrudzony w męce tworzenia, dziesiątki lat przykładem niedoścignionym narodowi służył, jako najofiarniejszy Rzeczypospolitej pracownik. Stajemy wobec Ojca narodu, którego Bóg wszechmogący obdarzył blaskiem własnej doskonałości i dlatego kult nasz dla Józefa Piłsudskiego jest naszą religją i dlatego tak pokornie i tak rozmodleni przed nim stajemy“.

## PREMJUM

Wszyscy prenumeratorzy, którzy do 10-go kwietnia b. r. opłacą „MYŚL NARODOWĄ" za kwartał II i III (w kwocie 17 zł), otrzymają bezpłatnie i franco książkę

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

**„PIEŚŃ W GÓRACH"**

(cena w handlu złotych 5.—)

Ktoby tę książkę już posiadał, — — — — — — na żądanie otrzyma książkę

JOACHIMA BARTOSZEWICZA

**„ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ"**

Premjum rozesłane będzie i tym wszystkim, którzy opłacili prenumeratę roczną lub przed 1-ym lipca opłacą II półrocze.

NOWA KSIĄŻKA

p. t.

**ŚWIATOWA POLITYKA ŻYDOWSKA**

Napisana przez

ZBIGNIEWA KRASNOWSKIEGO

**jest niezmiernie cennem wydawnictwem,** które niedawno wyszło z druku i jest do nabycia w administracji

„MYŚLI NARODOWEJ"

Warszawa Al. Jerozolimskie 17

**Cena 4 zł.**, z przesyłką pocztową **5 zł.**

Za zaliczeniem pocztowem **5 zł. 50 gr.**

Należność można wpłacać na konto czekowe P. K. O. „Myśli Narodowej" Nr. 3105.




Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.